

PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO.

PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO

PRZEZ

D^{ra} T. Tripplin.

SERYJA DRUGA.

Tom III.

Sougiłłowiczowie

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa.

1857.



5413

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 5 (17 Listopada) 1856 r.

p. o. Starszego Cenzora, Radea Honorowy,

A. Broniewski.

MA

Łowczyllowickowi

ROZDZIAŁ I.

Kleopatra Arragońska.

Z jednej strony rzeki Ebro na równiej pochyłej dość stromo się wznoszącej górze, piętrzy się miasto Tortoza ze swojemi starymi i nowymi fortyfikacyjami, kościołami, wieżami i bastyjonami, tak niby jak miasto Kowno nad brzegiem Niemna; a z drugiej strony rzeki Ebro ze zwierciadła samych wód wyskakuje w górę długi łańcuch wysokich najpyszniejszą roślinnością pokrytych gór, i przypomina nam do złudzenia uroczą Aleksotę.

Tylko jeszcze więcej urozmaicone, bo pośród tego kwiecistego bujnego lasu wyziera tutaj al-

tanka, tam ławeczka z surowej brzeziny, owdzie także mostek, a co najwięcej zastanawia, widzisz zawieszony o jakie pięć set kroków nad głową twoją młynek, którego koło ciągle klekocze; a woda kataraktą spada i dolatuje stopy gór w kształcie deszczu, a czasami tylko wodnistą parą.

Most na łyżwach łączy tutaj oba brzegi, i najpiękniej się wydaje ów młynek w powietrzu zawieszony ze środka długiego mostu. Krajobraz jest cudnym, jak trudno sobie coś podobnego wyobrazić: na tle zdrowej różnociennej zieloności widzisz pęki kwiatów różnej barwy, widzisz drzewo tulipanowe z kwiatami dużymi jak piwonije, widzisz drżące kwiecie strzelistego aloesu, widzisz i dojrzewających pomarańcz, nawet daktyłów nieprzebraną obfitość.

Ów młynek, ów obszerny ogród na samym szczycie rozłożystej góry, ów gaj jej boki pokrywający, wszystko razem nazywa się Arkadyją i należy do starego Pamfilio, niegdyś wachmistrza gwardyi hiszpańskiej, od lat szesnastu spokojnie sobie gospodarującego na gruncie zaś zyskanym razem z żoną, od dwóch lat już nieżyjącą.

Bardzo ładnie wygląda owa Arkadyja, i do raju porównać ją można pod nader wieloma względami, ale nie wiele przynosi dochodu swojemu właścicielowi, bo gruntu ornego ledwo tu dwie włóki, winnicy ledwie włóka, a co się uzbiera owoców w gaju pomarańczowym i włoszczyzny w sadzie, to w tych niespokojnych czasach nie ma gdzie sprzedać, albo trzeba sprzedać za bezcen. Szczęściem że się kukurydza doskonale obrodziła w całej okolicy, i że ją wszyscy sąsiedzi znoszą do młyna starego Pamfilio, a tak uczciwym sposobem Arkadyja przynosi swemu właścicielowi nawet w tych złych czasach, przeszło pięćset piastrów, to jest talarów bitych, rozumie się że rok rocznie.

To też sobie może żyć bardzo wygodnie, zwłaszcza że prócz jednej córki żadnego nie ma dziecka.

Inezilla, szesnastoletnia córka starego Pamfilio, jest tego raju aniołem; i każdy co na nią spojrzy nie weźmie jej za co innego, jak za anioła, bo w Hiszpanii jasna blondynka z łagodnym wyrazem w dużych czarnych oczach jest zjawi-

skiem rzadszém niż gdziekolwiek, a wywierającém nadzwyczajny urok.

Murillo przepadał za takimi kobietami już w szesnastym roku życia swojego, i gonił za nimi jeszcze w sześćdziesiątym; jemu trzeba było takich kóbiót dla swych Madon, dla swych świętych i aniołów. Nie szło mu o barwę włosów lub oka, bo taką ma na palecie jaką tylko chce, ale mu szło o ten wyraz anielskiej łagodności, który w Hiszpanii wcale nie jest częstym u kobiet, a znaleźć się da prawie zawsze na licach uroczych Hiszpanii blondynek.

Murillo byłby się zapamiętałe rozkochał w pięknej, miłej, łagodnej i niewinnej Inezilce. Oh! gdy po raz pierwszy na nią spojrział, żałowałem że ty już nie żyjesz wielki Mistrzu, któryś swym pędzlem śmiało nadać zgrzebnemu płótnu wartość najdroższych dyjamentów; widok anioła Arkadyi byłby cię uniósł jeszcze w wyższe moze sfery, bo na jej licach znalazłbyś nieprzebrane źródło najtkliwszych wrażeń, jakie tylko dotknąć mogą serce artysty, znalazłbyś najświętszą niewinność połączoną z jakąś dzi-

wnie ujmującą roztropnością. A jak rzadka piękność dziewicy połączona z roztropnością kobiety!?

Tak jest, niewinność nabiera dopiero wtenczas spotęgowanej wartości, gdy jest połączona z wyrazem rozgarnienia, roztropności, dowcipu i łagodności; niewinność gapowata lub złośliwa nie wielką ma w oczach moich cenę, bo cóż po takiej enocie co ulegnie w pierwszej potyczce? a niewinność chelpliwa, zarozumiała, strofująca i upokarzająca jest nieznośną potwornością, zasługującą na przykładne ukaranie a potem na wyśmianie.

Inezilkę znali wszyscy w Tortozie i na kilka mil w okolo, lubo tak była młodą, i lubo dopiero od roku wykwitła z pączka; ale jój niepospolita i tak osobliwa piękność, ale jój cnota znalazły rozgłos w całej okolicy, i co wielkiego zastanowienia godne, kobiety nie śmiały jój odmawiać piękności, może jój nawet nie śmiały zazdrościć zapewne dla tego, że uważano miłą córkę sennora Pamfilio za coś nadludzkiego, pod ziemskim względem do kobiety, odrodzicielki rodzaju ludzkiego, niepodobnego.

Ach! jakież to wyraz świętości na jój licach, błyskających bogobojnego wzruszenia promieniami! a w tych oczach zwróconych na Twój obraz Maryjo Dziewico jakież tkliwość! Doprawdy gdy ją tak widzisz modlącą się, uniesioną duchem, obawiasz się żeby piękne ciało nie poleciało za duchem.

I tęskno ci się zrobi na sercu, bo podobnych istot jak Inezilla nie wiele na téj naszej coraz prozaiczniejszej, a nawet pod względem moralnym coraz gorszej ziemi.

* * *

Nasz korpus stał obozem na dość rozległej płaszczyźnie za ową Arkadyją. Założyliśmy w tym obozie szpitale letnie, w których nasze strudzone wiarusy łatwiej i tańszym kosztem do zdrowia przychodzili niż w murowanych w mieście stojących szpitalach. A czuliśmy się dość bezpiecznemi w tym obozie, bo jakoś o Kabrerze od czasu bitwy pod Murviedro wcale nie słychać; nawet podobno jak mówią ma być zabity; tylko tego rozgadywać nie chcą Karliści, bo przecież to wielka klęska dla nich, strata tak

straszliwie dzielnego wodza; może to nawet cios śmiertelny dla Karlistów trzymanyh w kupie tylko przez krwi chciwego nieubłaganego Kabrere.

Więc czujemy się w bezpieczeństwie; ale dla tego codziennie patrole piesze i konne przebiegają kraj na około trzech mil od garnizonu Tortozy, staramy się łapać języka, trapić szpiegów, i wywiadujemy się najstaranniej co slychać i gdzie nieprzyjaciel.

Nie ma go! Djabli wiedzą gdzie się podział, ani slychu ani dychu o nim; czy istotnie dał nurka w ziemię? czy się téż zaczął? ale z pewnością Karlistów jak wymiółł; na lekarstwo nie dostałbyś nawet gierylasa karlistowskiego.

Więc spuszczaamy się na szczęście, ale przedewszystkiém bądźmy ostrożni i naszych dragonów codziennie rano i wieczór napominamy do czujności; dowództwa zaś patrolów nie powierzamy ludziom tępym, ospałym, nierozgarnionym, lecz owszem oficerom i podoficerom znanym z bystrości rozumu i z czujności, ludziom umięjącym się wypytać o wszystko, umięjącym śledzić, wślizgnąć się w zaufanie kobiet, zwła-

szcza kobiet z *ludu*, który jeszcze zawsze sympatyzuje z Karlistami, zapewne dla tego, że progresiści znieśli klasztory.

Zaprzyjaźniłem się z Sennorem Pamfilio tym sposobem, że mu z nogi wykroił kulę, którą nosił od lat dwudziestu siedmiu, a dostał w ciało pod Saragossą. Wałęsała mu się owa kula tu i owdzie, zwyczajem pocisków mniejszych, które nie tknęły kości; ale nareszcie zajechała mu w staw i wielu boleści stała się przyczyną. A była to kula polska wymierzona karabinem siódmego pułku Legii Nadwiślańskiej, wziąłem się tedy bardzo serdecznie do wykopania polskiej kuli z mięsa hiszpańskiego, i ten pocisk istnieje do dziś dnia w Muzeum szkoły lekarskiej w Paryżu.

Stary Pamfilio wdzięcznym mi był za ową usługę i chciał mi zapłacić za operacyją.

— A czyś to Wasan zapłacił za tę kulę owe-
mu polakowi co ci ją w ciało wpakował? — spy-
tam wiarusa.

— Nie! nie miałem sposobności, bo od chwili
gdy mnie ranil, musiałem pójść do lazaretu

i wylizywać się aż do końca wojny, — odpowiedź Pamfilio.

— A więc i ja nie mogę nic przyjąć za wydobycie ci tego podarunku, tylko proszę abyś się od teraz wyrzekł wszelkiej nienawiści przeciw Polakom.

— Oh to już dawno zrobiłem, mój panie Majorze; czyż się to można długo gniewać na Polaków, chociaż nas djabelnie bili i w górach i na płaszczynie, i za murami i na gołym polu. Ale widzi pan, polak uszanował to co nam było najdroższem: nasze kościoły, klasztory, święte figury i cmentarze, więc my też jako naród szczerze wierzący i chrześcijański, wybaczyliśmy tym co tylko ciału boleść zadali a duszę uszanowali. Tym zaś nie wybaczymy nigdy, co szarpali duszę, chociaż cielsku mniejszy zadali ból jak wy. Pojmuje major przecię, że mówię o Francuzach. Pański pułkownik, ten Margrabia, to wyjątek: wyjątki trafiają się wszędzie, nie tylko pomiędzy aniołami, Francuzami, ale nawet pomiędzy myszami. Wystaw sobie pan, moja Inezilka złapała wczoraj mysz bieluteńką jak mléko z oczkami czerwonymi i świecącemi jak

rubiny. Zamknęła ją w klóteczkę z mosiężnej siatki i nacieszyć się nie może tómy zwierzątkiem. Poprosz ją pan, niech panu pokaże swą myszkę, ona tu jest w ogrodzie w altance.

Lubilem się bawić naiwnościami Inezilki, i poprosilem ją, aby mi raczyła przedstawić swą zdobycz.

Przybiegła piękna i świeża jak kwiatek a lekka i żywa jak kolibri.

— Patrz Pan, patrz jakie ma świeczące ślępki,— rzecze miła dziewczyna — to jest myszka świętego Albina; bywają także takie króliki, a nawet zdarzają się białe kósy. Na co tylko łaskawie spojrział święty Albin, to wszystko nabrało białej jak mléko barwy, śnieżnego koloru niewinności.

— „Któż to panią nauczył takiej historyi naturalnej?”

— Oto siostra Pastora była tu dzisiaj, i oświeciła mnie w tym względzie; pan więc, siostra Pastora, sekularyzowana Brygidka; teraz musi biedaczka sama na siebie pracować, i chodzi od chaty do chaty nauczać dzieci szyć, haftować, czytać i pisać.

— A lalka Sennority czy zawsze grzeczna i zdrowa? — pytam się dalej niewinnój córki Pamfilia.

— Któż to panu powiedział, że ja mam lalkę? — rzecze Sennorita zalewając się oceanem purpury.

— Ona sama wyplotła, że się panienczka jeszcze często z nią bawi; mówiła mi to przedwczoraj; znalazłem ją drzemiącą w łóżecku Pani.

— „Ah nie wiedziałam, że taka plotkarka, pojde ją tego wylajać. Pfe! żeby zaś wygadywać takie rzeczy...

I wybiegła na swych małych nóżkach, tkwiących boso w pływających pantofelkach.

— Na dziewczynę szesnastoletnią i na hiszpankę jeszcze strasznie niewinna; dalibóg to prawie z idyotyzyzmem graniczy taka naiwność; czasami to mnie formalnie martwi taka opieszałość w rozwoju, — rzecze stary Pamfilio z dość markotną miną.

— Ale dajżeż pokój stary wiarusie: blondynki hiszpańskie daleko się później rozwijają; przytém nic łatwiejszego jak ją pozbawić tój świę-

téj niewinności. Ja sam podjąłbym się tego, ale...

— Ale się pan mnie boi, bo ja nie żałowałbym wówczas pugiuału i musiałbym pana wyprowadzić na tamten świat. Ho! ho! bałamucić mi dziewczynę! Panie majorze, wara od tego, żebyś mi pan nawet kopę kul wykroił ze wszystkich rąk i nóg, to tego nie darowałbym.

— No! nie obawiaj się Sennor Pamfilio. Ale znajdzie się zapewne taki, co jój serce posiada, wówczas zapomni o lalce i o myszce. Adio Sennor.

* * *

I znalazł się taki jakoś przypadkowo w bardzo krótkim czasie. Był nim młody, prześliczny i waleczny Fernando Latrava, Alferez, to jest chorąży strzelców celnych zwanych Luchany. Nic piękniejszego jak ten młody wysmukły brunet z ognistemi ciemno-niebieskiemi oczyma; ile to szlachetności w jego regularnych rysach? a ów czarny meszek wysypujący się na wardze, ileż tym białym zębom udziela powabu.

Jego piersi już zdobią trzy dekoracyje na polu

bitwy zyskane, nazywają go *el Angel de la muerte*, aniołem śmierci, w jego batalijonie, i liczą, że do stu Karlistów swą długą a lekką strzelbą zmiotł ze świata; ale on nadzwyczaj skromny, nigdy nie mówi o swych bohaterskich czynach, z których już w całej Hiszpanii głośny. Dziwna rzecz! on żadnych nie ma żołnierskich nałogów; ani pije, ani gra w karty, ani klnie, i cygara nie kurzy, nawet nie cierpi żeby w jego obecności o czémś rubaszném rozmawiano; jego zaś stryj, który dowodzi batalijonem, już tak wszystkich wyuczył strzelców, że młodemu chorążemu jakąś dziwną cześć składają.

Tak! do stu Karlistów ubił tą swoją długą rewolwerową strzelbą, którą się nabija z tyłu czterema ładunkami; a ten mały bagnet na końcu lufy tak się szklący w promieniach słońca, nie raz zatopił się po samą osadę w piersi nieprzyjaciół.

Cóż to za pyszny batalijon owi strzelcy Luchany! Zwinni, zręczni, ogniści, ocalili Esparterę i armiję jego pod Luchana; więcéj jak to: przemienili klęskę w najzupelniejsze zwycięż-

two: już bowiem wódz dał tę sprawę za przegraną i ustępował z placu, ale major Latrava rozproszył swoich w tyralierkę i zasłaniał pochód.

Na tym placu boju Fernando zdobył order i stopień; już teraz jest Alferezem, to jest oficerem najniższego stopnia, ale on nie opuszcza swjej strzelby, i jak kogo na cel weźmie, nawet o pięćset kroków, to już może być pewnym, że jego dusza za chwilę na wieki pożegna się z tym światem.

Młody Fernando mści się za swoją matkę, za ojca, za brata i siostrę, których mu Karliści spalili we własnym domu; on nie mówi, ale w chwili bitwy rozsiewa śmierć około siebie, jak istny Angel de la muerte!

A zresztą jest bardzo przyjemnym kolegą dla tych, którzy umieją zastosować się do jego ostrożnych, delikatnych, pańskich manier. Ze mną się zapoznał zaraz z początku, i ja go tu przyprowadziłem do venty sennora Pamfilio, ja go poznałem z sennorą Inezillą, i od tego czasu don Fernando codziennie po godzin kilka przesiedzi

z Inezilką w młynku, lub w ogródku, lub w winnicy, lub w gaiku.

Już tak trwa od miesiąca...

Biała myszka zdechła z głodu, grzeczna lalka poszła w kąt...

A jak inaczej wygląda? cóż to za rumieniec szczęścia na twarzy? cóż to za ogień w oczach!

Czemuż się modlisz mniej gorąco w kościele Inezillo? Oh już nie wyglądasz jak osoba chcąca się puścić do nieba na skrzydłach pobożnego uniesienia; już ci się więcej podoba ziemia.

* * *

— Proszę majora, — rzecze do mnie Pamfilijo, — jak się bawią te dzieci? siedzą od dwóch godzin na murawie, i *on* ją uczy haftować włóczką na kanwie. Ta ręka, która zabiła stu wrogów trzyma teraz igłę, i patrz z jaką biegłością pracuje. Widać że siętego nauczył w nudach garnizonowej służby, albo może w lazarecie. Ona zaś oczy swoje zatapia w twarz jego! Ach cóż za różnica w tak krótkim czasie: cała jej dusza już do niego należy, do niego, do tego dobrego, milego, bohaterskiego młodzieńca. A jak

skromny, miły i pocziwy! Myślisz pan, że on mnie się boi, że on mnie unika, jak pospolicie kochankowie unikają ojców swych kochanek? Owszem broń Boże! on mnie kocha jak własnego ojca, tęskni za mną i szuka mnie, gdy mnie nie znajdzie w domu. Jak żyję, takiego nie widziałem cnotliwego żołnierza, nawet nie słyszałem o podobnym, to sama świętość i pobożność, bo i pobożnym jest bardzo. Ani słyszałem o czemś podobnym, na honor! Że Inezilla go kocha zapamiętała, to aż nadto widoczne; że on kocha Inezillę, to zdaje się też pewne, bo codzień tu przychodzi, i tylko tutaj się bawi; grzeczności nam świadczy, prowadzi nas do teatru i do cyrku, i obejść się nie może bez Inezilli, która istotnie już głowę straciła i formalnie umiera z tęsknoty, gdy go nie widzi.

Ale czemuż się nie oświadcza, mój panie majorze? Czy się obawia odmowy? Bynajmniej! Ja wiem, że on majątku nie ma żadnego, ależ przecież moja Arkadyja warta z piętnaście tysięcy bitych, a wkrótce jeszcze zyska na wartości, bo jakoś się szczęściem wszystko ma na pokój, nie słyhać już o przeklętym Kabrerze

i o tych zbójcach karlistowskich. Wszystko jemu oddam, sam sobie nic nie zachowuję, będę parobkiem u niego, aby się tylko oświadczył i żenił jak najprędzej z moją piękną i lubą córką. Ach! niech go chociaż raz w życiu nazwę mym zięciem, niech go uściskam serdecznie jak syna; bo oni dla siebie stworzeni, to widoczne, tak są dobrzy jak są ładni, i kiedy na nich patrzę panie majorze, tobym chciał żeby on był... widzi pan cokolwieczek mniej skromny, to bym chciał widzi pan, żeby raz porwał moję Inezilkę w swe objęcia i żeby ją wyściskał aż ję w uszach zapiszczy. Oj! nie bronilaby się tak bardzo—jestem tego pewny. Lecz on jakoś nieśmiały do tego interesu; cha! cha! cha! na woltyżera strasznie nieśmiały; ja jakoś miałem więcej śmiałości z matką Inezilki; mnie to nieboszczyk teść musiał od nię odpędzać kijem, dopókiśmy się nie pobrali w kościele. No! cóż pan myślisz panie majorze, będzie z tej mąki chléb? Trzeba go zręcznie wysądować, trzeba przyspieszyć rzecz; niema tu przecie żadnej zawady, panna kocha, namiętnie kocha panu powiadam, tylko o nim marzy; panie majorze przyznać się

muszę, i imię jego powtarza w ciągu nocy z dwadzieścia pięć razy, — tak, tak, tak, nawet o nim mówi we śnie. Więc nie ma zawady, bo panna kocha, wyprawa leży w kufrach, posąg w kassie, a moje błogosławieństwo — Panie Boże, mieć go będzie po uszy.

Przecież zamilkł stary gaduła, i śmiać się zaczął ze swęj gadatliwości, aż mu łzy wystąpiły w oczy. A potém na dobre becząc począł ni zład ni zowąd.

— Uspokójże się stary wiarusie i nie płacz jak dziecko. Fernando jest honorowym chłopakiem, i pewno ci nie rozbalamuca córki na kpiny, tylko ma zamiary małżeńskie. Zresztą pomówię z nim ostrożnie i delikatnie jeszcze dzisiaj, i ręczę ci, że najdalej za trzy tygodnie tańczyć będę na weselu Inezilki bollera, fandango i kaczacę z kastanietami i z wyrwasami.

— Niech panu majorowi Pan Bóg da zdrowie za to, że mi wlewasz otuchę w serce; nie wiem, ale jakoś mi się żałośnie zrobiło w duszy. Panie majorze tam jest jeszcze kilkanaście starego Alicante, możemy wypróżnić jedną, nieprawdaż?

— Istotnie sennor Pamfilio, to najstosowniejszy czas do tego, mówmy przy starłej butelce o losie młodego serca; może się w uroku tego co przeszło nawinie myśl zbawienna dla tego, co ma przyjść.

A wiele się gawędziło tego wieczora, wiele planów ułożyło, i nie jedną lecz podobno ze trzy butelek alikantu pochłonęło, raz się bawiąc przeszłością, drugi raz rozumując o przyszłości. Zwyczajnie jak żołnierz z żołnierzem, gdy nieprzyjaciel może nie daleki.

* * *

Nazajutrz wieczorem siedzę sobie w swoim mieszkaniu, w szpitalu letnim przy jakiejś medyczno-literackiej pracy, gdy wpada do mnie Pamfilio z okropnym wyrazem rozpaczony na zbladłej, doprawdy strupieciałej twarzy, a krzyczy przeraźliwie:

— Żmija! żmija! żmija zygzak! najjadowsza! Pomocy, na miłość Boga, szybkiej pomocy! Inezilla! Inezilla córka moja pokąsana! sama ją sobie przystawiła w moich oczach! Ha ja nieszczęśliwy ojciec!

Biegnę, jako tako wybadawszy starego wachmistrza i zabrawszy z sobą co potrzeba, zwłaszcza bańkę z pompką pneumatyczną, i żelazka różnej wielkości do wypalania! Moja powózka właśnie stoi zaprzężona. Pędź co możesz do Arkadyi.

— Teraz opowiedz Sennor Pamfilio co? i jak?

— Oto wracam do domu przed pół godziną, z młyna wracam, i myślę, że ich zastanę oboje w ogródku jak zwykle. Ale Mariquita mi mówi, że *on* już wyszedł przed ćwierćgodziną jakoś bardzo wzruszony, zapłakany, a pańna siedzi w ogrodzie nieporuszona jak posąg, błada niema, zimna. Bóg wie co się tam stało.

Istotnie ona siedzi jak piorunem rażona: oczy ma osłupiale, usta otwarte, ręce zwieszane, puls ledwie ślad.

— Co to jest? Co to jest na miłość Pana Boga?—krzyczę przestraszony, bo nigdy w życiu nie widziałem méj pięknej Inezilli w tym stanie

Ona nie odpowiada ani skinieniem, ani najmniejszym wyrazem w oczach; nie! tylko patrzy w obszar puszczową źrenicą swych dużych oczu.

— Inezilla! Inezilla! — krzyczę jak opętany —
Co tobie jest? czemu tak prędko odszedł Fer-
nando?

Cała zadrżała, gdym to imię wymówił, i znów
wpadła w osłupienie.

— Inezillo! czego mi się każesz domyślać? on
tobie krzywdę wyrządził? Ha! biada tobie Fer-
nando!

I znów zadrżała, gdym po raz drugi to imię
wymówił.

W tém zaszurgotało coś w krzakach, i w téj
saméj chwili wypada z nich na ścieżkę żmija
gzykzak, długości dwóch łokci przynajmniej.

Ja krzyczę żmija! żmija! i chcę unieść z tego
miejsca osłupiałą Inezillę; ona szybka jak piorun
zrywa się i puszcza ku przekłętemu gadowi; łap-
pie go, przystawia do swych obnażonych pier-
si, już krwi struga z nich płynie.

Rzuciła jadowitego potwora na murawę, mó-
wiąc: Dziękuję ci żmijo!

Mariquita przybiegła i widząc co się stało po-
święca się dla swéj pani, którą nad życie kocha,
i krew jéj wysysa z zatrutéj rany.

A ja przybiegłem do pana o pomoc. Boże

drogi! cóż tam się stać mogło? czy też zdradliwy woltżyżer nie postąpił sobie tym razem za- nadto śmiało?

* * *

Ha! już ma owe kurczowe dreszcze i owe straszliwe wejrzenie osób zatrutych jadem grzechotnika lub bardzo dużej żmii; a śnieżne ję- łono okrutnie opuchło, zsiniało, i co chwila sta- je się potworniejszém.

Przystawiam pneumatyczną bańkę, grzeję moje żelazka aż do białości, wypalam na jęj piersiach ranę, na pół cala głęboką.

Syczy żelazo w jęj ciele, które się smaży; ona drży, oczy otwiera i jęczy z bolesti.

Już może polknąć kilkanaście kropli etery- cznych, wraca do przytomności, i coś szuka około siebie, ojca szuka.

Powoli odzyskuje zmysły, rękę wyciąga do ojca i mówi:

— Oh tato! tato! ja zbrodnię popełniłam, ży- cie sobie odebrać chciałam; ach przebac! ale jak okropnie nieszczęśliwa! dla mnie życie za- dnych nie może mieć uroków. Oh nie ratujcie

mnie, ja umrzeć muszę, i umrę prędzej lub później czy z własnej, czy też z losu ręki.

Jeszcze dają kropli eterycznych bardzo dużą dozę, aby się upoiła i mogła wypłakać.

Istotnie powiodło się; po kilku głębokich westchnieniach lzy jej zrosiły oczy i potokami z nich spływały.

— Powiedz Inezillo, przyznaj się słodki mój aniele, któremu wszystko wybaczę co tylko zrobił, czy cię przypadkiem ten człowiek nie *skrzywdził*; rozumiesz mię, czy cię nie skrzywdził na honorze, — pyta ojciec mówiąc po cichu do ucha Inezilli.

— *Skrzywdził*? on? Boże się pożał, — odpowiedź dziewczyna ze wzdrganiem ruszając ramionami i rumieniąc się po uszy.

Cóż to znaczy ten giest wzdrgania, ja sam tracę głowę, — pomyślałem sobie.

— Czy on mnie skrzywdził? Ja nie mogę być jego żoną; on nie może być moim mężem, i nie chcę go widzieć nigdy na moje oczy: ha! o takim nieszczęściu, o takim rozczarowaniu wyobrażenia nie miałam, — rzecze dalej biedna

Inezilla już w jakimś stanie eterycznego upojenia.

— Do stu tysięcy czerwonych kaduków co by to było? rozczarowanie? to prawda, że głos don Fernanda przypomina mi cokolwieczek głos owych śpiewaków, co to ich *fabrykują* w Rzymie, ale zresztą wnosząc z jego żelaznej energii, z jego wytrwałości w uczuciach nienawiści, z jego męstwa, nie sposób przypuszczać, że się znajduje pod pewnym ważnym względem w stanie podobnym do dyskantów. Zresztą *ona* tak niewinna, przed miesiącem bawiła się lalką i myszką. Gdzież tu przypuszczać?.....

Ojciec ciągle nalega na córkę, żeby mu powiedziała, dla czego ona nie może być żoną Fernanda.

— Czy może dla tego, że ty masz majątek a on go nie ma? czy może dla tego, że on ma herb szlachecki a ty go nie masz? Odpowiadaj, odpowiadaj na miłość Boga Inezillo, bo się wścieknę i pójdę go zabić. Chcesz, żebym go poszedł zabić?

— To mi obojętne, — rzecze Inezilla znów pogardliwie ruszając ramionami. On teraz tylko

jest martwym fantomem miłości mojej, a nie jej przedmiotem. Tak! zabij go, żebyśmy się nie spotkali nigdy. Doktorze! czemuś go tu przyprowadził? Ojczy! i doktora zabij także bez żadnego miłosierdzia; to zdrajca.

Ona na dobre mającycę zaczęła, on zaś zrozpaczony, nie umiając sobie zdać jasnej sprawy z tego wszystkiego, mierzył mnie dziwnemi oczyma, i sam siebie pytał, czyby tu nie należało wystąpić względem mnie z groźbami i z wymaganiem tłumaczenia się.

— Panie majorze! może tu jest zagadka, którą pan rozwiązać potrafisz; istotnie pan go wprowadziłeś do domu mojego, pan jesteś odpowiedzialnym za jego sprawowanie się; na panu się zemszczę okrutnie, jeżeli się coś wyda w tém wszystkim chociaż najmniej niepoczciwego.

— Milczałbyś stary karajo! demonio! nie strasz mnie twemi zawziętymi zemstami poganinie hiszpański! ale wiesz co, ona usypia i spać będzie za chwilę; od skutków wprowadzenia jadu do ciała już jest zabezpieczoną; idźmy teraz do obozu żądać od Fernanda wyświeślenia téj dziwnej a zarazem okrutnej zagadki. Musi w tém

być coś piekielnego. Ja już wpadałem na dziwne domysły.

— Na jakie majorze?

— Otóż czy nasz Alferez don Fernando de Latrava nie należy do rzędu tych bohaterów, którym czegoś brakuje. Wiesz, że sławny Uli-Khan Chan Tatarski, znany z waleczności, był także niespełna mężczyzną.

-- A cóż to za myśl szalona, panie majorze; skądżeby ona miała choć najmniejsze wyobrażenie o tych rzeczach; jeszcze przed miesiącem bawiła się lalką. Tak niewinną jak ona, może nie ma na świecie.

Idziemy do obozu.

Przed godziną Alferez Latrava poszedł z plutonem na patrol ku Saragossie; sam się upomniał o dowództwo tego patrolu: pospolicie oszczędzano go w tego rodzaju służbie, ale tym razem sam się napał i koniecznie chciał pójść z patrolem. Stryj jego bardzo niezadowolony z tego, ledwie z nami chce rozmawiać i klnąc przechadza się po baraku. Widać, że bardzo kocha swego synowca.

A nie wiadomo kiedy wróci don Fernando, bo

Karliści znów się zaczynają ruszać jak z odrętwienia ocknięte mrowisko.

* * *

Już minął tydzień od tego czasu. Inezilla nie płacze, nie narzeka, nie wzywa ojca do zemsty przeciw Fernandowi i przeciw mnie, nie wpada także w osłupienie, lecz chodzi jak obłądna z kąta w kąt, nie prawie nie mówi, niczém się nie zatrudnia i umarłaby z głodu, gdyby jej nie zmuszano do przyjęcia jakiego pokarmu.

Od tygodnia, od tego bezbożnego czynu ze zmiją zygzakiem, ani jeszcze raz nie wzniosła myśli do Boga, nie modliła się, nie żądała pójść do kościoła, i nawet gdy zadzwonią na Anioł Pański, ona nie przeżegna się, nie westchnie do Panny Maryi pocieszycielki utrapionych. I to najwięcej wszystkich nas przestrasza, że pod względem bogobojności tak straszliwa zmiana nastąpiła w młodej, wprzód tak szczerze i serdecznie pobożnej dziewicy; czy jad żmii zatrą jej czystego świętobliwego ducha? czy nieszczęście, które ją dotknęło tak jest głębokiem, że

jednego ciosu zadaniem wyrugowało z jęj serca dawne uczucia i zasady?

Stary Pamfilio rozpacza; zaprowadził on ją do kościoła na okazalę wotywę, którą sam dla nięj zakupił. Nie! żadnego w nięj odgłosu nie wzбудził ani organ, ani śpiew, ani modlitwy, ani kazanie: zachowała się przyzwoicie, to jest zęgnęła się kiedy koniecznie potrzeba było, biła się w swe rozranione a niewinne piersi, wstawęła przy Ewangeli, klękla przy Podniesieniu, ale wszystko to robiła machinalnie jak automat, bez żadnego wzruszenia, bez jednęj chwili wzniecenia religijnego, bez uniesienia w licach, bez ognia w żrenicy.

— Czyżby już wyschnęć miały wszystkie źródła życia w tym aniele jeszcze przed kilkoma dniami wszystko swym duchem ożywiającym? czyż na zawsze zwiędnięł ten kwiat zaledwie żyć poczynający? czyż i ona jest tylko prostą córkę ziemi całkiem pochłonięą przez miłość dla kochanka, całkiem zdruzgotaną przez żal po utracie tego uczucia? Jakiegoż rodzaju nieszczęście mogło tak wielkich odmian stać się powodem?—

pytałem sam siebie patrząc na nią z frasunkiem w sercu.

Ona całemi godzinami wolno i bezmyślnie przechadza się po ogrodzie; i już nie podlewa i nie podpięra swych najmilszych kwiatków, lecz je zrywa z obojętnością, niszczy w rękach gorączką spieczonych i wyrzuca na ścieżkę, niegdyś tak starannie zwiorem wysypywaną.

Już w niej czucia nie ma dla religii, dla poezyi! Już to młode ciało zaledwie tą cząstką życia ożywione, które niezbędnie jest potrzebnem na roślinkowanie. I długoż ciało ludzkie zadowolnić się może tak drobną cząstką życia?

Na wszystkie wpadamy domysły doprowadzić mogące do docieczenia przyczyn tak nagłego upadku, na wszystkie, nawet na takiego rodzaju domysły, o których wspomnieć trudno.

Czyżby dziewico twoja niewinność uległa upadkowi?

Nie! Mariquita staje w obronie swęj pani, i przysięga, że ona niewinna jak nowonarodzone dziecko.

Ona sama nie odpowiada na żadne pytania,

i już jój z osłupienia nie można wystraszyć wspomnieniem Fernanda.

A młody chorąży, któryby może wyświecił całą tę sprawę, nie wraca; nikt nie wie gdzie się podział z całym patrolem: może już w pień wycięty? może zabrany w niewolę?

Stryj jego chodzi jak obłąkany, traci głowę, chce się puścić z całym batalijonem na odszukanie synowca; ale jenerał nie pozwala, surowe pod karą śmierci wydaje rozkazy, aby się nikt z obozu bez jego wyraźnego pozwolenia nie wydalał, a zaleca największą czujność.

* * *

Ukazali się Kartlisci jak chmury szarańczy, które uragan przewiał z Afryki przez morze. Opadli Saragossę, ale przecież nie zdolali wziąć jój w niespodzianym szturmie; teraz ją oblegają w czterdzieści tysięcy, nasz korpus idzie jój na odsiecz.

Już się pożegnałem ze starym Pamfilio i z młodą Inezillą może na zawsze: on jednakże płakał rozstając się ze mną; zdawało mi się że i ona uczyła jakieś wzruszenie.

Mamy maszerować dniem i nocą, gotujemy się na bój krwawy. Major Latrava szuka mojego towarzystwa, ciągle mi mówi o synowcu, którego bardzo polubiłem. Ale nie wiadomo gdzie się podział. Zapewnie już zabity.

Jest coś niezwykłego w miłości stryjowskiej tego surowego majora; ciągle tylkoby rozmawiał o swym synowcu.

* * *

Stoczyliśmy bój krwawy, pobiliśmy oblegających; oblegani przyszli nam dzielnie w pomoc. Pierzchają Karliści ku Biskai.

Stoimy biwakiem w aleach parku Saragossy; naszych rannych przewożą i przenoszą pod moim przewodnictwem do szpitala.

Przypada do mnie major de Latrava na koniu całkiem spienionym.

— Doktorze! natychmiast ze mną co koń może wyskoczyć, — krzyczy zziębnięty, także w głowę lekko ranny major.

— Oh to nie wielka rzecz, mogę cię natychmiast opatrzyć, — odpowiadam mniemając że mojej usługi wzywa.

— Nie o mnie tu idzie, to fraszka owa ranka w głowę, wzywam cię do Fernanda, od trzech dni leży ranny w szpitalu, i jeszcze nie jest opatrzonym; a ranny w piersi kulą, strzaskane ma żebro, ledwo dyszy, okropna gorączka... Jedź ze mną, natychmiast.

— Ale widzisz majorze, że w tej chwili stanowiska mojego opuścić nie mogę aż ostatni z naszych wiarusów odprowadzony zostanie do szpitala. Wezwij tymczasem innego lekarza.

— Nie chcę, ty jeden posiadasz moje i jego zaufanie, on nie pozwoli, aby się go kto inny dotknął. Wiész jak jest delikatnym; jak osobliwym pod tym względem. Na Boga cię proszę, na klęczkach cię błagam, zdaj służbę na podkomendnych lekarzy szwadronu, opowiedz się pułkownikowi, który ci pozwoli oddalić się, bo także pokochał Fernanda.

Tak się stało jak chciał Latrava. Pędzimy ku szpitalowi co koń wybiedz może. W jednym miejscu tłum zatrzymał nas przed kościołem, z którego wychodził w świetnej processyi ksiądz z panem Jezusem.

Zsiedliśmy i uklękli zdejmując przyłbice, bo taki

zwyczaj w bogobojnej Saragossie ; nawet królowie uszanować muszą ten zwyczaj.

— Ach! kiedy jesteś na klęczkach, szepnie mi w ucho major Latrava , — więc mi przysięgnij, że nie wydasz tajemnicy, którą ci w tej chwili dla ocalenia Fernanda powierzyć muszę.

— Przysięgam! — odpowiedziałem podnosząc rękę do góry.

— Więc słuchaj: Fernando nie jest moim synowcem, tylko moją synowicą.



Tak było w istocie: Fernando jest kobietą, dziewczicą, — piękną, młodą, niewinną, a waleczną jak Joanna d'Arc dziewczicą.

Teraz cała tajemnica nieszczęścia Inezilli od razu wykryta: biedna dziewczyna kochała się w kobiecie, o której myślała że jest mężczyzną. Fernanda, w takiego rodzaju sprawach najzupełniej niedoświadczona, gdy się dowiedziała odemnie, że ojciec Pamfilio oczekuje deklaracji, poszła po prostu do Inezilli, i kazawszy jej przysiądz na krzyż, że nie wyda tajemnicy, bez

oświadczyła że jest kobietą, i że od téj chwili chce być siostrą Inezilli.

Ona jeszcze nigdy nie kochała, i przeczuć nie mogła jakie sprawi wrażenie na biednej Inezilli. Ona myślała, że Inezilla padnie jéj do szyi i ścisnąć ją będzie po tysiąc razy.

! *Anioł niewinności* padł jak nieżywy przed *aniołem śmierci* w chwili, gdy się przekonał że i on jest kobietą, noszącą serce pod pulchną pokrywą.

Fernanda nawet nie umiała przejąć się smutnym położeniem anioła niewinności, i pokrywała go całusami, winszowała jéj, że od téj chwili daleko poufalej żyć z sobą będą.

Inezilla zaś przyszedłszy do siebie, po piérwszy raz w życiu wpadła w gniew niesłychany, i krzyczała:

— Precz mi z oczu przeklęty potworze, oszukańcze, *kobiéto!* Precz! nie chcę cię widzieć więcej, nienawidzę cię, gardzę tobą, przeklinam chwilę, w której wstąpiłaś w te progi!

Fernanda nie pojęła przyczyn tego gniewu, załzała się łzami i uciekła z przed oblicza biednej Inezilli, która w téj chwili wydawała się jędzą

piekielną, i więcej jój strachu napędziła, niż dotychczas wszyscy Karliści z brodami, tromblonem i pugiuałem.

Ale my pojmujemy nieszczęście biednej Inezilli i potępiac jój nie będziemy za srogi gniew anioła niewinności.

Żeby się naprzykład który z nas pokochał *pięrszą miłością* w mężczyźnie przebranym za kobietę!

* * *

Szczęściem że waleczna Fernanda była ranną kulą ukośnie idącą, która wprawdzie złamała żebro, ale nie wpadła do klatki piersiowej!

— Bóg ciebie majorze do Saragossy sprowadził, byłabym umarła, ale nie pozwoliła opatrzyć się żadnemu innemu; do ciebie mam jakieś szczególne zaufanie, — rzekł razu pewnego nasz żeński bohater, który zabił stu Karlistów kulami, a jedną biedną dziewczynę — męskim ubiorem.

— Bardzo mi pochlebia twoje zaufanie mój poręczniku, — odpowiedziałem Fernandezie, której nowy awans właśnie ogłoszonym został:

ale powiedz mi na miłość Pana Boga i świętego Jacka z Alkantary, jak mogłeś nie przewidzieć, że się biedna Inezilla w tobie koniecznie pokochać musi. Codziennie przesiadywałaś z nią godzin kilka, w tak bliskiej z nią byłeś zażyłości... ona tak młoda, ty, taki piękny, czy nie wiesz że z tego powstaje miłość?

— Alboż ja wiem co jest miłość? Wychowana w zimnych niedostępnych górach Sierry Nevady przez matkę bardzo surowych obyczajów i przez ojca bezprzestannie ściganego za swe liberalne opinie, nigdy nie słyszałam żeby przemówiono wyraz *miłość*, nigdy o niej w żadnej nie czytałam książki, nigdy w życiu nie śpiewałam i prócz dwóch braci nigdy do dwudziestego roku życia nie widziałam młodych mężczyzn. Wtenczas to kraj nasz zalały bandy Lopeza, osobistego nieprzyjaciela rodu naszego; uderzono na nasz dom; broniliśmy się rozpaczliwie wszyscy ile nas było, nawet matka już podeszła; dawaliśmy ognia z pozatarassowanych okien. Podłożono ogień, chciano nas zmusić do poddania się bojaźnią straszliwych męczarni; przekładamy śmierć w płomieniach nad niepe-

wną litość Karlistów, cofamy się na dach kiedy już z dołu cały dom stał w płomieniach; w moich oczach zapadli się w gorejącą otchłań: matka, ojciec, siostra i jeden brat, i my już ginąć mieliśmy, kiedy Karlistom wpadł na karki mój stryj z hufcem gierylasów Krystyńskich. Ocalono nas; ale od téj chwili nienawiść posiadła serce moje, pragnęłam zemsty i poświęciłam się Marsowi dla osiągnięcia jéj. Dopiero moje kule zaczęły szaleć pomiędzy szeregami wrogów! i śmierć roznosić straszliwą: tylko oficerów brałam na cel i rzadko kiedy chybiałam, bo oko moje pewne, ramię nie drży, a broń warta milion; jest to podarunek samego jenerała Jackson, prezydenta Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Ha! jak polubiłam ten rodzaj życia! jak się pasłam widokiem krwi, którą sama przelewałam! Ale głos umierającej w płomieniach matki jeszcze tętni w uszach moich, jeszcze słyszę jęczenia méj szesnastoletniej siostry, jeszcze zapomnieć nie mogę siwego jak gołąb' ojca wijącego się w piekielnych bólach, i pięknego jak anioł brata, który wpadłszy pomiędzy dwie gorejące belki, ginął śmiercią powolną i okropnie

bolesną. Tak! jeszcze mnie krwi trzeba, ja żadnego nie pojmuję uczucia jak nienawiść; zanadto przesiąkała nienawiścią, abym mogła kochać cośkolwiekbądź, lub zdolala przejąc się miłości uczuciem, a nawet tylko wyobrażeniem.

— Oh poruczniku Fernando! a w gruncie jesteś jednakże miłą, pocziwą dziewczyną, najlepsze masz serce i charakter nader łagodny; ja myślę że w tobie jednakże przemówią tkliwsze uczucia; jakieś mam przecucie, że i ty się pokochasz, za mąż pójdziesz i będziesz ładnych i grzecznych dzieci mat..

— Doktorze, przestań z temi żartami, — krzyknie Fernando rumieniąc się ze złości i ze wstydu.—Ty śmieiesz myśleć, że ja porucznik strzelców Luchany, kawaler trzech krzyżów, bohater znany w całej Hiszpanii, mógłbym się pokochać w mężczyźnie i stać się jego niewolnikiem? i to jeszcze w jaki oburzający sposób służyć mu za zabawę? Brr! panie doktorze pielęgnuj o mnie lepsze wyobrażenie. Taka wyjątkowa istota jak ja, nie zniży się do podobnych rzeczy, wyruguj takie myśli ze swój głowy; ja jestem prawą córką Minerwy chciwéj zemsty lecz nie miłości.

— Żebyś to jeszcze był jakimś mężczyźniakiem, niedokładnego rozwoju istotą, lub gatunkiem bezpłciowego potworka, ale nie poruczniku Fernando, jesteś kobietą w całym znaczeniu tego słowa, nadzwyczaj ślicznie i dobrze rozwiniętą; dalibóg trudno teraz na ciebie patrzeć bez doświadczenia pewnych...

— No! i cóż pewnych? pewnych?.. — spyta gniewliwie porucznik chwytając za rewolwer.

— Oto pewnych..... strachów, — odpowiem z lęklivością.

— Ach! to co innego, spodziewam się, że pan nie będziesz już rozpoczynał podobnych rozmów z oficerem donny Izabelli.

— Jeszcze tylko jedno słowo, panie poruczniku. Gdzie się podział brat, który razem z tobą ocalał? czy także służy w wojsku i wytępie Karlistów?

— Ale gdzie tam, to bardzo spokojnego umysłu człowiek; poświęcił się dobroczynnemu zawodowi i uczy się medycyny na uniwersytecie Walencji; już kończy wydział, podobno nawet już jest doktorem.

— Więc pod względem moralnym wcale do ciebie niepodobny, a pod fizycznym?

— Najpodobniejszy z rodzeństwa; tylko że o rok odemnie starszy, o parę cali wyższy, daleko mężniejszy i wąsy ma duże; mnie strasznie opieszale rosną wąsy doktorze.

— Ależ nie zapominaj poruczniku, że jesteś kobietą, dziewicą, i że właściwie nie masz prawa do wąsów; to jest jakaś wyjątkowa gra natury, że ci urosły takie malutkie, czarne, miłutkie wąsiki podobne do aksamitnego meszku.

— A nasza markietanka Barbara Desgur jakie ma zawiesziste wąsy, większe od wąsów swego męża, zarzuci Fernando.

— To znów strasznie nieładnie poruczniku, kontentuj się tém, co masz. Ale à propos brata twojego, powiedz mi czy nie rozkochany, czy już nie zawarł jakich miłosnych stosunków z jaką kobietą?

— Alboż on śmiałby pisać o takich rzeczach do mnie? jeszczeby téż? Do czegoż te wywiadywania i pytania?

— Widzisz pouczniku, chciałbym go posłać

do Tortozy, aby tam biedną Inezillę wziął w kuracyją; możeby ją wyleczył? Cóż mówisz na to?

— Dalibóg pochwalam twój pomysł i dziękuję ci za niego. Inezilla jest nadzwyczaj piękna, powabna i cnotliwa dziewczyna; przytém ma wcale ładny mająteczek, a mój brat bardzo biedny i żadnego nie ma funduszu potrzebnego na stworzenie sobie praktyki. Napiszę do niego i każę mu natychmiast, dopóki jeszcze czas, jechać do Tortozy, nawet mu pošlę pieniędzy na drogę. Ale jakżeż tu zrobić, żeby się tajemnica moja nie wydała?

— Darmo! trzeba do niej przypuścić starego Pamfilio; niech on delikatnie uprzedzi swą córkę, że się donna Fernanda de Latrava przemieniła z kobiety w mężczyznę; i z żołnierza w lekarza. Ona wszystkiemu uwierzy, bo jest niewinną jak anioł.

Ba! niewinną jak anioł?— rzecze Fernando,— a jednakże, gdym ją zapoznała z moją — z moją plcią, zaraz mi kazala iść precz z oczu, nazwała mnie potworem, oszukańcem a *nawet* kobietą. Na mój honor wojskowy ci ręczę, że m się nigdy w życiu tak nie przełękła; uciekałam com

miała tchu, i nie czując się bezpieczną w obozie, objęłam przez upór dowództwo patrolu, co przypłaciłam, jak widzisz, bardzo bolesną raną.

— Wybacz biedaczce, ona ciebie szczerze kochała, dopóki myślała że jesteś mężczyzną; że się potem miłość obróciła w nienawiść, to bardzo łatwo do pojęcia dla psychologa i dla fizjologa, to jest dla ludzi znających organa i duszę swojego bliźniego. Więc wybacz dobry poruczniku swój ofierze Inezilce i napisz natychmiast do brata, ja zaś uprzedzę starego Pamfilio i każe mu przygotować córkę na przyjemną *metamorfozę*.

* * *

Jakież to szczęście, że władze umysłowe biédnej Inezilki jeszcze nie spadły pod stopień samowiedzy; jakież to szczęście, że ona pojąć mogła co jój ucieszony ojciec oznajmił bez żadnej ogródki z wyrazem twarzy promieniejącej najwyższą radością.

— Ach moja droga córko! jakież dziwne niespodziane wiadomości; otóż mi pisze Fernando, donosząc mi że w nim nastąpiły bardzo osobliwe

przemiany; że z wojskowego przeszedł na lekarza, a z kobiety na mężczyznę. Ja nawet nie wiedziałem, że on był kobietą, przyznać ci się muszę. Otóż dzisiaj przyjeżdża prosić mnie o rękę twoją; chce się żenić z tobą, uważasz Inezilko?

Trzeba wiedzieć, że już od dwóch dni don Fadrique de Latrava bawił w Torozie i że niepostrzeżony widział Inezillę, która mu się nadzwyczaj podobała. I jej ojcu także przypadł brat Ferdynandy najzupełniej do smaku; ukartowano więc wszystko jak najlepiej, aby dobry skutek uwieńczył tyle usiłowań.

I cóż Inezilla na odezwę tak niespodzianą ojca swojego?

Zarumieniała się po uszy barwą wstydlivości, i po raz pierwszy od miesiąca jej konające źrenice zabłyśły ogniem miłej samowiedzy.

A jednak potrząsała głową ze smutnym wyrazem twarzy, tak jak gdyby chciała powiedzieć:

— Nie tатko, to być nie może: nie przemieniają się dziewczyny w chłopców.

Ojciec odgadł jej myśli, i dalej rzecze:

— Nie często się takie przemiany dokonywa-

ją, ale jednakże zdarzają się czasem. Słuchaj Inezilko, jedync, kochane dziecię moje! już się zbliża Fernando, znajdziesz go wyższym, męźniejszym, ale również pięknym jak był przedtém. Tylko się nie złękuj, bo już jest tuż, tuż...

I nim się spodziała Inezilla, znalazła się w objęciach nadzwyczaj pięknego wysmukłego bruneta z niebieskimi oczyma i bladą szlachetną twarzą.

A jakoś przeświadczające były te jego uściski, bo młoda niewinna blondynka ani powątpiła o doskonałości przemiany, i zalawszy się rzewnymi łzami radości, tuliła się do serca twardą powłoką pokrytego.

Nareszcie Panu Bogu dziękować zaczęła za tak piękną metamorfozę! Wszystkie pocziwe uczucia ocknęły się w duszy Inezilli równo z nadzieją szczęścia: widać, że łatwiej być dobrym temu, który się czuje szczęśliwym.

Od téj chwili znów kwiatki pachniały Inezilce, śpiew ptasząt ją czarował a barwy motyla zachwycaly: a cała atmosfera, która ją otaczała, drżać i brzmieć zaczęła najśliczniejszą harmoniją

wzniciającą w jęj nerwach sympatyczne, pełne tęsknych uroków uczucia.

Oddajmy jęj sprawiedliwość: po długiej chwili uniesienia wyrwała się z namiętych ramion senora Latrawy, i padła na kolana, aby przebłagać Boga; i ojcu się rzuciła do nóg prosząc, aby jęj raczył darować.

Don Fadrique zachwycony swą piękną narzeczoną; po jutrze pierwsza zapowiedź razem z drugą i trzecią, bo za indultem się biorą; tegoż samego dnia odbędzie się ślub: czegoż tu długo czekać, *znają się od tak dawna!!!* ona przynajmniej mniema, że go zna od czterech miesięcy.

Słowem wszystko poszło jak życzyłem i przewidywałem. Kleopatra Arragonu jest najszczęśliwszą żoną a nawet i matką w Hiszpanii.

* * *

W trzy lata po moim pierwszym pobycie w Hiszpanii, zwiedziłem wówczas szczęśliwe, a dzisiaj znów krwią bratnią zalane ogrody Hesperyi.

Bawię w Madrycie; uczęszczam do teatru, na

walki byków i na przechadzki publiczne; znajomych prawie nie mam w stolicy, w której podczas pobytu przeszłego w Hiszpanii ani razu nie byłem.

Że też żadnego z moich dawnych kolegów wojskowych nie napotykam w Madrycie? Do prawdy nudzić się zaczynam w tém mieście, nie odpowiada moim oczekiwaniom, nie jest ani dosyć hiszpańskiem, ani dosyć romantyczném.

Jednego razu jakiś galonowany herbowy lokaj jawi się u mnie, i upewniwszy się, że jestem Doktorem T. T. wręczył mi bilet, którym mnie jakaś hrabina de Alfontega Ruiz y Torramente zaprasza do siebie na jedenastą godzinę dla zacierpnięcia méj lekarskiej rady. Mieszka we własnym pałacu przy ulicy Alcala.

— Nie mam szczęścia znać hrabiny de Alfontega Ruiz y Torramente,— rzeknę do służącego.

— Być może, — odrzeczcie *el familiario*, — ale cóż mam odpowiedzieć?

— Że służyć będę.

Na co się tylko przyroda i sztuka wysadzić może, tém jaśniał pałac i ogród hrabiny de Alfontega, ona zaś sama wysoka, okazała, dumna,

młoda i prześliczna, była w całym znaczeniu tego słowa wielką damą.

Mnie aż olśniło tyle imponującej powagi w tak młodej kobiecie, gdy weszła do salonu ozdobionego insygnijami Izabelli Katolickiej w pełnej dworskiej pompie.

Ukloniła się skinieniem i ciekawie wpatrywała w twarz moją; nareszcie uśmiechać się zaczęła gdy na niej wyczytała nieśmiałość, zadziwienie, wahanie się i formalnie trwogę.

— Doktorze! dobrze się domyślasz, znajdujesz we mnie dawną przyjaciółkę, — rzecze hrabina.

— Dawną przyjaciółkę? — odpowiem głosem cokolwiek drżącym, — ja nigdy w Hiszpanii tak dostojnej osoby jak hrabina nie poznałem.

— Więc może poznasz we mnie *dawnego przyjaciela*? — spyta hrabina na nowo nadając głosowi swojemu naturalnie bardzo wdzięcznemu pewną szorstkość, i stając w postawie cokolwiek junackiej.

— Fernando! poczciwy poruczniku Fernando! cóż za przemiana?.

— Prawda, że bardzo niespodziewana.

— Ale, żem nigdy w dziennikach nie wyczytał, że ona nastąpiła? przecież ani na chwilę nie spuszczałem Hiszpanii z mego oka. Ostatni raz słyszałem o pani, gdyś zostawszy kapitanem dowodziła całym korpusikiem i na głowę pobiła hrabiego Espanna pod Terruel.

— To był mój ostatni czyn wojenny, mój dobry doktorze; ale siadaj, opowiem ci wszystko nim mój mąż przybędzie, który *nawiasem powiedziawszy*, nie powinien wiedzieć, że się znamy jako koledzy wojskowi, bo troszeczkę zazdrosny, zresztą jeszcze niewyrobiony, o dwa lata odemnie młodszy, prawie dziecko. Więc po bitwie pod Terruel, pomiędzy innemi niewolnikami dostał mi się w ręce, przezemnie pałaszem raniony oficerek karlistowski wyższej rangi i nadzwyczaj dobrej miny. Błagał mnie abym życie jego oszczędził, i nie wysyłał go do głównej kwatery księcia Zwycięztwa, który jest osobistym wrogiem jego ojca, dawnego ministra Ferdynanda VII. Młodość tego oficerka, zaufanie we mnie położone, nareszcie może jego dobra mina wzruszyły mnie; po pierwszy raz w życiu uczulam w swém sercu litość względem

Karlisty. Kazałam go opatrzyć i umieścić na najlepszym ambulansowym mule; nie spuszczałam go z oka. Prócz niego i kilku dogorywających jeńców, żadnego nie zostawiłam przy korpusie; wszystkich odesłałam Esparterze wówczas w Saragossie stojącemu.

Pielegnowałam mojego jeńca, którego rana w głowę nie była jedną z najłżejszych; żałowałam szczerze, że moja ręka tak ciężka, nawet zaczynałam się wstydzić, że taka ręka może zadać tak bolesne rany.

— Potém nas niespodzianie z boku opadł dość mocny hufiec Karlistów; musieliśmy uleść przemocy i uciekać w góry, na terytoryjum sławnej Rzeczypospolitój Andorre, gdzie zatarassowawszy się w dolinie przez przyrodę obronnej, wytrzymałiśmy formalne oblężenie przez trzy tygodnie. Namiotem moim, którym się musiałam dzielić z jeńcem gorączką trapionym, była jaskinia, ręką przyrody w skale wykuta.

— A twój stryj kapitanie, czyli raczej pan hrabino?

— Tam jest gdzie mój ojciec; gdzie moja

matka, gdzie mój brat i siostra, — odpowie Fernanda łzawém okiem — Zginął na polu bitwy. Ale słuchaj. Tam w jaskini bliżej poznałam tego oficerka; czasu mieliśmy tyle, czekaliśmy na odsiecz, wiele rozmawialiśmy z sobą o przyczynach dla których on służy u Karlistów a ja u Krystynów; nareszcie on bezemnie tęsknił, nie jak jeniec bez zwycięzcy, lecz jak dziecko bez matki; mnie rozczulać zaczynały owe dowody tak naiwnej i szczerzej przyjaźni. Do zdrowia widocznie już przychodził, i pytać się zaczęłam sama siebie, co z nim nareszcie zrobię, bo przecież go do Karlistów puścić nie mogę, ani też ciągle przy sobie trzymać. Martwić mnie już zaczęło owo położenie biednego a tak ładnego, dobrze wychowanego chłopaka, i gdy na niego patrzyłam, łzy mi w oczy występować zaczęły. Wystaw sobie, mnie kapitanowi Gwardyi Strzelców, po cztery kroć ozdobionemu, mnie bohaterowi Hiszpanii łzy występowały, gdym spojrziała na biednego majorka Julio de Ruiz, jeńca mego. Majorem był w dwudziestym roku życia, bo u Karlistów wszyscy dobrze urodzeni szli zawsze przed dobrze zasługującymi się. Zabrnęłam

w prawdziwy kłopot, i po pierwszy raz w życiu czulam się nie swoją.

W tém daje mi znać Espartero, przez list strzałą zarzucony, że w dniu jutrzejszym atakować będzie oblegających od Wschodu, i że stamtąd jednocześnie winnam się przerzynać przez łańcuch oblegających. *Ale gotuj się do walki zaciętej, bo wrogami dowodzi Kabrera*, — dodaje generał Espartero.

Gotujemy się do téj bitwy jak na śmierć, bo istotnie nasze położenie było nadzwyczaj krytyczne; tylko dwoma przez wroga zajętemi wozami wyjść było można z téj mysiěj łapki, w którą wpadliśmy uciekając przed przemożnym nieprzyjacielem.

— Mój jeniec wyczytał frasunek na czole mojem, i stoczywszy z sobą długą walkę, przystąpił do mnie błagając, abym mu zaufał i serce swoje otworzył.

Tknięta nie wiem jakim uczuciem, powierzyłam mu tajemnicę przyczyny mego kłopotu; wyznałam, że uważam nasze położenie jako bardzo niebezpieczne.

— I ja uważam je za takie, — odpowię Julio

de Ruiz z unoszącym zapalem, i dla tego dzielić je chcę z wami, walcząc w waszych szeregach, pod twoim bokiem waleczny don Fernando, mój dobroczyńco i ozdobo Hiszpanii! Czy mnie przyjmiesz choć za prostego strzelca Luchany, kapitanie de Latrava?

Byłabym go wtenczas uściskała, przyznam ci się kochany doktorze; po pierwszy raz w życiu poczułam, że jestem kobietą, i że kochać mogę jeszcze coś innego jak ojczyznę, sławę i zemstę.

Przyjęłam tedy jak najuroczyściej don Julia de Ruiz, byłego majora Gwardyi Pretendenta, na prostego strzelca Luchany, kazałam mu przywdziać mundur i złożyć przysięgę przed sztandarem.

To przejście pod nasze chorągwie w tak krytycznych okolicznościach wlało nam wszystkim odwagę i otuchę w serce; wszyscy pokochali męznego młodzieńca, w którym się szlachetne serce tak ludzko odezwało na widok naszego niebezpieczeństwa. Jeszcze tego samego dnia awansowałam don Julia na podoficera i na felfebra, na najwyższy stopień, który z mocy mojej

udzielić mogłam. Mój nowy felfeber objął służbę i już wieczorem po apelu raportował mi ilu jest zdrowych, słabych i chorych w kompanii.

Noc zaś przepędził jak zwykle od trzech tygodni w jednej jaskini ze mną, tuż obok mnie. Całą prawie noc przegadaliśmy. Wypytywał mnie o wszystkie związki familijne moje; wszystko mu opowiedziałam; zamilczałam tylko, że jestem kobietą, a zresztą niczego nie tałam.

Nazajutrz oczekiwaliśmy sygnału Espartera z tęsknieniem, trwogą i nadzieją miotanym sercem. Nie wiem czemu, ale już nie czułam w sobie pełności owego bohaterskiego ducha, który mnie dotąd ożywiał, a truchlałam gdy mnie Julio chociaż tylko na chwilę odstąpił. Kapitan chodził za swoim felfebrem jak dziecko za matką; dalibóg wstydziałam się siebie, i widząc się samą w jaskini, gorzko zapłakałam nad przemianą we mnie zaszłą.

Zastał mnie don Julio tak zapłakaną. Ja chciałam skryć łzy i pomięszanie moje i zaczęłam mu wydawać surowe i cokolwiek niedorzeczne rozkazy; on zaś zapłoniwszy się, rzekł z nadzwyczaj miłym uśmiechem:

— Nie wstydz się tych łez kapitanie; wszakże nie jeden mężny wódz zapłakał przed bitwą; a sama Joanna d'Arc, dziewica Orleańska, rzuwne łzy wylewała przed zwycięstwem pod Chartres.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć na te słowa, tylko rumieniec zalał ogorzałą twarz moją i w uszach mi zapiszczało okropnie.

— Czy chcesz być mężniejszą od Joanny d'Arc, tak jak jesteś piękniejszą? — rzecze dalej Julio biorąc mnie za rękę i klękając przedemną.

— Felfebrze! tydzień aresztu dla ciebie! — krzyknęłam nie wiedząc co mówię i robię, a w tej chwili felfeber aż zanadto się ośmielił, zamknął swojemu kapitanowi usta dziwnym sposobem...

* * *

— Już od kilku tygodni wiedział ten młokos, że jestem kobietą, wystaw sobie doktorze.

— A cóż zdradziło tajemnicę, sennora?

— Cóż zdradziło tajemnicę? Nie oczyma ją odgadł, ani żadnym z pięciu oficjalnie przyjętych zmysłów; za nadto byłam ostrożną na to,

pilnowałam siebie z trudną do uwierzenia troskliwością. Przeniknął ją jakimś innym delikatniejszym zmysłem, i kochał się zapamiętane w żołnierzu, którego oręż tak mocno uczuł na swój głowie. I dla tego przeszedł pod nasze chorągwie, dla mnie zrobił ofiarę, którejby dla niczego innego nie był zrobił. Nawet wiedział, że go już Kocham, wiedział więc ode mnie.

— I cóż było potem, sennora?

— Działa Espartery zagrzmiały i wyrwały mnie z jego namiętych objęć. Przysięgliśmy walczyć jak lwy, razem umierać i jeśli nas śmierć ocali, żyć dla siebie. Z twarzami opromienionymi nadzieją przystępujemy do uszykowanego hufca, który gdy nas zoczył, naszymi się natchnął uczuciami i krzyknął: zwycięstwo! niema śmierci pod takimi wodzami! Klękłam na czele hufca, i w rzeźnej modlitwie błagałam jeszcze raz o zwycięstwo, przysięgając poświęcić na ołtarzu miłości chrześcijańskiej uczucia zemsty od tak dawna we mnie panujące. Potem uderzyliśmy całą siłą na wroga już z tyłu partego. Jeszcze raz chwyciłam za ową strzelbę, którą biłam ja-

skólki w lot kulą; zaden wystrzał nie chybił w przerzedzone szyki wpadamy z bagnetami, walka trwa długo, Julio mnie nie odstępuje, hamuje mój zapal, za mnie komenderuje: zwyciężamy i łączymy się z wojskiem Espartery.

Księżciu marszałkowi przedstawiam don Julia de Ruiz, jemu przypisuję chwałę dnia tego. Espartero uściskał ze łzami w oczach syna wroga swojego i mianuje go majorem, oddaje mu stopień w wojsku don Karlosa piastowany. Mnie także awansuje na majora; i obu posyła do Madrytu z wieścią o zwycięztwie i z zabraniami na nieprzyjacielu sztandarami.

Zwierzamy się z naszą miłością młodziuchnej królowej, już dobrze pojmującej jaka w tém uczuciu siła. Królowa prowadzi don Julia do ołtarza, mnie zaś młody Infant, który teraz jest małżonkiem Izabelli II.

Już nie wojowałam ani razu jako mężatka; mój małżonek zaś mianowany hrabią de Alfontega i obdarzony dobrami jego ojcu skonfiskowanymi, wystąpił także z wojska i przeszedł do dyplomacyi. Wkrótce potem ukończyła się wojna, ojciec mojego męża uzyskał amnestyją

i wrócił do dóbr syna swojego, gdzie sobie syt wojen i prześladowań, spokojnie gospodaruje, wcale nie myśląc o don Karlosie. Otóż i koniec méj epopei panie doktorze; przepowiedziałeś mi taki koniec, wyznać to muszę, zwiastowałeś mi 'kliwszych uczuć kosztowanie, i szczęśliwą jestem że się przepowiednie twoje zjściły.

— Hrabino! zwiastowałem nie tylko męża, lecz także coś więcej: czy się romanse kapitana z felfebrem dotychczas płonnemi okazały?

— Ale bynajmniej, — odpowie rumieniąc się hrabina, — widzisz pan tam na tarasie mego pałacu...

— Tego przystojnego młodzieńca z prześlicznym dzieckiem?

— Ten przystojny młodzieniec, to mój mąż hrabia de Alfondega, Grand Hiszpanii, kawaler Kallatrawy, Alkantary i Kompostelli, Radca Ambasady i Szambelan Jej Królewskiej Mości Katolickiej; a to prześliczne dziecko, — to nasz syn.

— Jak już duży ten chłopaczek? Musiał przyjsć na świat niedlugo po zwycięztwie pod doliną Andory?

— Przyszedł na świat w rok po naszym ślubie, panie doktorze, -- odpowie hrabina uśmiechając się dość figlarnie i zarazem rumieniąc. — Kapitan nie przestał ani na chwilę być zwierzchnikiem felfebra swojego; racz pan wierzyć temu.

* * *

— Nic mi hrabina nie mówi o swój ofierze, o pięknej Inezilli?

— Kleopatra Arragońska karmi już trzecie dziecko swą piersią od żmii pokąsaną, i czuje się nadzwyczaj szczęśliwą córką, żoną i matką.

— A czy jeszcze wierzy w przemienienie płci?

— Oh! już oddawna nie wierzy w takie cuda. Wystaw sobie pan, że coś w kilka tygodni po ślubie piękna Inezilla Pamfilio, zapewne w skutek zajścia w pewien stan interesujący, wpadła w jakąś trwogę z obłędem graniczącą, męża od siebie ani na chwilę puścić nie chciała, i nareszcie po kilku miesiącach milczenia i tajenia się wyznała, że ją ciągle prześladowuje jedna straszli-

wa myśl i obawa. Zgaduj pan jaka to myśl i jaka obawa ?

— Otóż zapewne bała się urodzić córkę, przekładała widać pod wszystkimi względami rodzaj męski nad żeński, nad swój własny.

— Coś niby naksztalt tego; ale jeszcze nie to samo; dalej, zgaduj pan.

— Dalibóg nie mogę się domyślcć; tu w Hiszpanii rzeczywistość zawsze leży po za granicami naszej chłodnej północnej wyobraźni.

— Wolalabym, żebyś się domyślił doktorze, bo to nie łatwo przychodzi *kobięcie* mówić o takich rzeczach, — powie hrabina zasłaniając wachlarzem swe rumieniące się lica.

— Tak szczerzy rumieniec wstydu na licach kobiety, której ręka sto pięćdziesiąt przyjaciół Inkwizycyi położyła! Oh hrabino! jesteś zachwycającą, i nie wiem czy niewinna donna Izabella, może być niewinniejszą od ciebie mężatko i matko!

— Panie doktorze! nie zapominaj że jestem damą Dworu Jój Królewskiej Mości Katolickiej, — rzecze z powagą hrabina, i tém hamuje moje zapaly i dlawi me figlarne myśli.

— A więc nie dowiem się nigdy czego się lękała bratowa Waszój Excellencyi? — dodam z markotnym wyrazem tw arzy.

— Ah! jesteś lekarzem i można śmielej z tobą mówić. Otóż się obawiała, żeby się jój mąż nie przemienił napowrót w kobietę.

— Pojmuję tę obawę, i dziwię się żem na tę myśl nie wpadł. Prawdziwie ta metamorfoza mogła nie być w guście szanownej małżonce, która miała zostać matką. Więc nastąpić musiały eksplikacyje?

— I nastąpiły; ale trwogi méj bratowój ustały dopiero po mém ukazaniu się w Arkadyi starego Pamfilia w sukniach kobiecych; dopiero wówczas Inezilla uwierzyła na dobre, że metamorfoza płci jest cudem niemożliwym. Dopiero od téj chwili czuje się zupełnie spokojną, szczęśliwą, a Bóg jój dał samych synów.

— O pociągu płciowy, wyjawiający się w najniewinniejszych istotach siłą tak przemożną! A zatem stary Hipokrates miał słuszość kiedy mówił: *propter solum uterum mulier est quod est.*

— Nie umiem po łacinie,

— A ja nie mogę tego zdania przelożyć do-

chciał powiedzieć, że kobiéta głównie na to jest stworzoną, żeby kochała i została matką.

— Tak podobno i jest doktorze, kiedy i moje żelazne serce oprzec się nie mogło wpływowi miłości, kiedy i ja, mściwa bohaterka Hiszpanii usłuchać musiałam nareszcie głosu natury, i krwawy oręż zamieniłam na pochodnię Hymenu.

— A mary tylu ludzi, których wysłałaś na tamten świat, nie przebudzają cię ze snu?

— Nie przebudzają, ani też mnie trapi widok rodziców, brata i siostry ginących okropną śmiercią w zgliszczach dawniej, teraz już bluszczem porosłej siedziby. Już wszystko pomszczone i przeblagane żyje w pamięci nie jako pobudka do uczuć nienawiści, lecz jako podstawa do religijnych myśli. Daję na msze jednocześnie za dusze mego zamordowanego rodzeństwa i za dusze ofiar z méj ręki ległych, i proszę Boga, aby w dusze mych dzieci nie przelał najmniejszego zarodku nienawiści dawniej w mém sercu pokutującej. Niech raz nastąpi w pięknej Hesperyi ogrodach panowanie przebaczenia i miłości; oby dzieci nasze w krwi bratniej nie broczyły i całe

swe usiłowanie zwróciły na pożyteczną krajowi pracę!

— I ja tak życzę z serca Fernando! i w dalekiej ojczyźnie prosić będę Boga, aby raczył opiekować się losem twego szlachetnego narodu.

ROZDZIAŁ II.

Zagłodzony Anglik.

Już nie jesteśmy w złotej Hiszpanii, kędy kwitną i owoce niosą daktyle, kaktusy i cytryny; lecz od dni kilku przebywamy we Francyi, gdzie dojrzewają w téj chwili nieprzejrzałe łany wina, migdałów, fig i granatów.

Nie łatwo wtargnąć lądem z Hiszpanii do Francyi. Ogromny łańcuch wysokich Pirenejów przedziela oba kraje zwłaszcza od Południa, i kto chce przejść z Hesperyjskich ogrodów do Gallów siedziby, ten musi na wysokości siedmiu tysięcy stóp brodzić w niezgruntowanych śniegach, i wystawić się na wszystkie niedogodności i niebez-

pieczeństwa takiej podróży jakiej się doświadcza przechodząc przez górę świętego Bernarda, przez którą wiemy, że tamten Napoleon przebywał na czele wojska swojego dla pobicia Austryjaków we Włoszech.

A my pędziliśmy przed sobą na grunt neutralny straszego wroga Hiszpanii i ludzkości, nieubłaganego Kabrere, który nareszcie zalawszy krwią swój rodzinny kraj, ustąpić musiał przed wytrwałością obrońców królowej konstytucyjnej. I to nas zgrzewało do cierpliwego ponoszenia wszystkich niewypowiedzianych znojów pochodu przez zlodowaciale szczyty śnieżnych olbrzymów; serca przejęte radością nie czuły, że nosy, uszy, ręce i nogi marzły w głębokich, tumanami przewracających się śniegach. A jeżeli który życiem przypłacił ową przeprawę przez niedostępne siedziby zimnych gnomów śniegu, to się jeszcze w chwili śmierci pocieszał nadzieją, że lepsze nadchodzą czasy dla drogiej mu ojczyzny.

Już Kabrery dzikie hufce na ziemi francuskiej broń złożyły: już Karliści rozbrojeni i prowadzeni oddziałami pod działa fortecy Perpignan,

aby stamtąd mniejszemi jeszcze oddziałami przejść mogły w różne strony Francyi.

Oficerów odłączono od żołnierzy, pozwolono im mieszkać w mieście, wszystkie hotele przez nich zajęte, bardzo trudno dostać mieszkania.

Przybyłem do Perpignan razem z kommissarzami wojska Izabelli, wysłanemi na to, aby sprawdzili od jakich i od ilu nieprzyjaciół uwolniła się Hiszpanija.

Mocno uczulem niedogodności téj uciążliwej przeprawy przez Pireneje; nie byłem przygotowany na tyle zimna, wichrów i śniegu, i przez całe trzy dni drżałem jak galereta pod moim białym kawaleryjskim płaszczem. Ani razu rozgrzać się nie mogłem.

Bóle reumatyczne wszystkich stawów i gorączka mnie ogarnęły; już na koniu wytrwać nie byłem w stanie, musiałem się kazać wieźć w najętój furze, nasze bowiem furgony pozostały opodal za nami z wojskiem tylko do granicy ścigającym.

Nareszcie dowlokłem się aż do Perpignan, i w żadnym hotelu dostać nie mogłem mieszkania, szpitale zaś wojskowe Francuzów, chętnie

udzielające przytułek obcym wojskowym, zawalane były Karlistami wszystkich stopni, z których nie jeden do gangreny odmroził ręce i nogi podczas pochodu, a wielu z nich nosiło rany zadane orężem.

Powiedziano mi, że w jakimś domu prywatnym dostać można mieszkania; wskazano mi ten dom. Na nieszczęście jakiś Lord angielski ze swą służbą roztasował się od dwóch dni w tym domu, zajął co tylko można było zająć pokoi, nawet więcej niż mu było potrzeba.

Udaję się do tego Lorda z prośbą, aby mi odnajął przynajmniej jeden małeńki pokój; przemawiam do niego po angielsku i jak najgrzeczniej proszę.

Zrazu anglik robił wielkie trudności dla tego, że tylko jeden był wspólny wchód do całego przezeń zajętego mieszkania, a do tego wszystkie drzwi z jednego do drugiego prowadzące pokoju były właśnie wyjęte i do naprawy posłane. Wręcz mi oświadczył, że nie lubi być w takich bliskich stycznościach z żadnym nieznanym, zwłaszcza z cudzoziemcem, i to jeszcze z wojskowym.

— Może się Mylord obawia, żeby mu przypadkowo coś nie zginęło, lub żebyś nie doznał jakiejś nieprzyjemności w towarzystwie mojem? — zapytałem Anglika.

— Muszę przyznać, że pan wcale dobrze odgadłeś myśl moją, — odpowiedź Mylord z tym zimno-impertynenckim wyrazem twarzy, który do najwyższego stopnia oburza człowieka serdecznego, przyzwyczajonego do życzliwego przyjęcia.

Musiałem jednakże tym razem stłumić mego gniewu wzburzenie, i ofiarując nieufnemu wyspiarzowi moje papiery i pieniądze, prosiłem go, aby je zachował jako rękojmię méj poczciwości, i rzekłem z bolesnym wyrazem w twarzy:

— Ponieważ pan nie umiesz wyczytać z twarzy bliźniego swojego ani jego cierpień, ani jego uczciwości, więc te papiery i te uncyje przekonają pana, że masz do czynienia z człowiekiem zasługującym na wiarę i na lepsze obejście się ze strony dobrze wychowanych ludzi. W moim kraju rodzinnym, w Polsce, nie potrzebowalbyś Mylord błagać tak długo o gościnność; widok

cierpiącego rozbraja u nas najnieufniejszych ludzi.

Anglik nie był przygotowanym na takie *dic-tum acerbum*, czyli na takiego szcztuka. Zarumienił się téż jak indyk po uszy, a włosy jego już z natury czerwone, stanęły mu dębem i jak gdyby w płomieniach na jego trapezowej głowie.

Nie przyjął ani papierów ani uncyj, i pozwolił mi się rozgościć w jednym z pokojów najdalej od jego sypialnego pokoju położonym.

— Przedewszystkiém pozwól Mylordzie, żebym korzystając z twojego biurka zapisał sobie lekarstwo— rzekłem do anglika i siadłem do napisania recepty.

— Więc pan jesteś lekarzem? zapyta Mylord.

— D o k t o r e m Medycyny, graduowanym w Niemczech, w Anglii i w Hiszpanii, Mylordzie.

— Któż mógł się domyśleć, że pod tym dragonńskim mundurem bije lekarskie serce, a pod tą mosiężną przyłbicą myśli doktorska głowa,— rzecze dalej anglik, podając mi z serdecznością rękę i ofiarując mi wszystkie możliwe usługi.

Od téj chwili Mylord obchodził się ze mną z największą uprzejmością, i co godzina sam napominał ordynansa mojego, aby mi zadawał przyniesione z apteki lekarstwo.

Była to okropna miksturka z amoniakiem i lukrecyją, ale sam ją sobie zapisałem, sam ją wyżyłem i najlepszych doświadczyłem skutków. Po lekkim przepoceniu się i kilku godzinach odpoczynku w dobrém łóżku na kukurydzowym materacu uczułem znaczną ulgę; nieznośne bóle i dreszcze ciągle mnie od dni kilku przebiegające, w znacznej części ustąpiły, kaszel zwolnił, czułem się daleko lepiej, odnowionym człowiekiem i o wiele pogodniejszym okiem spoglądałem na przyszłość.

Jednakże nie czułem się jeszcze zupełnie zdrowym, i lękając się, żeby mi nie pozostał w ciele jaki zarodek reumatyczny, pokutować mogący przez całe życie, kazałem sobie przynieść sporą beczkę, która przez lat trzydzieści służyła na przechowywanie mocnego wina Rousilionńskiego, i w téj beczce za pomocą moeno rozgrzanych kamieni i nalewań wodą wzięłem kąpiel parową nadzwyczaj mocną i skuteczną.

Potém znowu, nie przestając brać lekarstwa, obwinałem bryłę niegaszonego wapna w wilgotne szmaty i położyłem ją w łóżko obok siebie. Jest to najlepszy i najtańszy sposób do wzbudzenia ciepłika, ułatwiającego transpiracją ciała; żadne kamionki napełnione gorącą wodą tak wysokięj nie rozwiną temperatury.

Mój anglik patrzył z widoczném i coraz wzmagającém się zajęciem na te wszystkie sposoby i przyrzady, któremi chciałem odzyskać zachwiane zdrowie, szczególnięj się zachwycał łaźnią parową, braną w beczce od wina, i nareszcie widząc mnie zupełnie wolnego od bólów, gorączki i osłabienia, przyszedł mi oficjalnie powinszować powrotu do zdrowia, i zaręczyć mi, że dla mnie pielęgnuje prawdziwy szacunek.

— Eheu! medicus curavit se ipsum! a zatém lekarz sam siebie wyleczył; i to we własnych moich oczach, używając wewnętrznych i zewnętrznych środków — rzecz Mylord, zacierając z zadowolenia ręce. A zatém wątpić nie mogę, że widzę przed sobą lekarza wierzącego w skuteczność Medycyny; prawdziwie to mi się zdarza po raz piérwszy w życiu, i dla tego pana

szanuję i ofiaruję mu przyjaźń swoją, z pozwoleniem żądania odemnie jakiej pan chcesz usługi.

— Ależ Mylord chyba żartuje, jakto? po raz piérwszy widzisz lekarza wierzącego w skuteczność nauki i sztuki lekarskiej?

— Tak jak po piérwszy raz widzę lekarza, któryby sam siebie leczył i połykał tak obrzydliwą miksturę, jaką sobie pan zapisałeś, a że mi się to wydarza po raz piérwszy w życiu, to dalibóg ani moja wina, ani téż zasługa, ale zawsze pan ma prawo do mojej wielkiej wdzięczności, boś mi przedstawił obraz niezwykły i zapewne bardzo rzadki na świecie. Téż mnie nawet tak rozrzewniasz, że ci muszę powierzyć zdrowie osoby najdroższej mi w świecie; i że cię prosić będę o radę dla niej.

— Tą osobą najdroższą ci na świecie jest zapewne żona albo córka twoja Mylordzie?

— Oh nie! Milady Flumburry jest osobą najwięcej mnie kosztującą na świecie, ale nie najdroższą dla serca mojego; a córki wcale nie mam. Osobą najdroższą mi jest William Nipps, Jockey, który mi wygrał pięć razy na wyścigach

w Epsom pierwszą nagrodę, i koniom moim zrobił ową kolosalną reputacyją, którą się cieszą. William Nipps jest żokiejem, jakiego drugiego spodziewam się nie ma; przekonamy się o tém w bardzo krótkim czasie: za dwa tygodnie odbędą się w Epsom wyścigi konne, poprzedzone wystawą zwierząt, na której tym razem po pierwszy raz prezentować się będą ludzie i ubiegać o nagrodę wyznaczoną przez księcia Sussex dla najlepszego, to jest najmniej ważącego żokieja. Otóż właśnie mój Nipps, sztuka niesłychanie ambitna, pragnie zostać pierwszym żokiejem Wielkiej Brytanii, i dla tego to brał w Algierze tak nazwaną kuracyją arabską, to jest żywił się przez trzy miesiące samemi suchemi owocami, daktylem, migdałem i tureckim orzechem, które posiadają własność, że człowieka sprowadzają do jak największej, z mumifikacyją graniczącej chudości, nie odbierając mu jednakże sił potrzebnych na władanie koniem i na pędzenie jak najszybsze, na przeskakiwanie płotów i rowów. Poświęciłem się na przeprowadzenie téj kuracyi i przez całe trzy miesiące karmiłem poczciwego

Williama kuchnią arabską. Mój Jockey waży dziś pięćdziesiąt trzy funty i cztery uncje, a tak jest silnym, że codziennie ujedzie sześć mil angielskich w piętnastu minutach i skacze przez wszelkie wymagane zawady.

Przytém wiedzieć panu potrzeba, że każdy ubiegający się o sławę pierwszego Żokeja Wielkiej Brytanii, powinien mieć lat przynajmniej dwadzieścia i cztery, William ma ich dwadzieścia i siedm; wszystko nam rokuje zwycięstwo i nie małą to będzie dla mnie chwałą, żem potrafił *wyrobić* tak pięknego żokieja, żem dowiódł iż sztuką dobrém i prowadzeniem można osiągnąć tak pocieszający rezultat. Tysiąc pięćset funtów szterlingów nagrody, to zresztą nie fraszka, warto się ubiegać o tak piękne wynagrodzenie. William przy tém dobrym jest mężem i ojcem, i chociażby miał umrzeć po osiągnięciu zwycięstwa, pragnie zostawić swój rodzinie sławę i majątek. Ale chcesz go pan widzieć? zaraz go panu sprowadzą, mieszka tu w tym domu na pierwszym piętrze.

Mylord, fabrykant żokiejów, poszedł i zostawił mnie nie mało zdziwionego. Po pierwszy raz

w życiu slyszalem o wystawie i o mumifikacyi żyjących ludzi za pomocą daktyłów i migdałów. Ale cóż jest niemożliwym w kraju, w którym się na bydłecem targowisku sprzedają niewierne żony za parę szylingów? Anglicy, którzy wpadli na najpiękniejsze myśli w swych urządzeniach dobroczynnych, nie raz także wiedzeni duchem ekscentryczności na najdziwsze wpadają pomysły; systematyczne głodzenie ludzi i sprowadzenie do największej lekkości, niezawodnie taką jest bezecnością, jak fabrykacyja Sopranów w Rzymie, i dziwna rzecz, że Anglija, która pierwsza postanowiła prawa przeciw męczeniu zwierząt, może tolerować umyślne głodzenie ludzi dla wyrobienia lekkich żokiejów.

Powrócił Mylord Flumburry i przyniósł mi w ramionach swego żokieja starannie w koc uwiniętego i właśnie odpoczywającego po owęj forsownej konnej przejażdżce.

Był to człowiek na pięć stóp i dwa cale długi, zeschły jak pargamin, z fizyjonomiją śniadą wyrazu melancholicznego. Tkanki komórkowej nie miał ani śladu na ciele, piersi zakłęśłe, ale system muskularny na nogach i ramionach jeszcze

wydatny, widać, że cała siła skupiła się w tych organach. Balsamami wzmacniającemi smarować się kazał przed każdą przejażdżką i zagrzewał się wówczas czarką wina czerwonego z korzeniami; jego codzienne pożywienie składało się z dwunastu uncyj daktylów, fig, rodzenków, migdałów i orzechów, i to rozdzielał na trzy porcje, i każdą porcją popijał kieliszkiem wody lekko solonej; puls miał słaby, przyśpieszony, skórę suchą, zwiędłą i gorącą. Ale od pewnego zaś czasu kaszel go męczył coraz gwałtowniejszy i siły mu odbierał. Właśnie Mylord mnie prosił o lekarstwo na ten kaszel.

— Wiész Mylordzie co znaczy ten kaszel?

— Musiał się zaziębić... nie więcé,— odpowiéd anglik.

— Ten kaszel i ta gorączka znaczą, że biédny William Nipps wpędził się ową jazdą konną i głodzeniem w galopujące suchoty, i że go zapewnie nie dowieziesz do Anglii, jeśli natychmiast nie zmieni sposobu życia i odżywiać się nie będzie silniejszymi pokarmami, zwłaszcza mleczywem i buljonem; a przejażdżek konnych i wzniecania się winem z korzeniami, zupełnie musi za-

niechać. Maszyna ludzka nie jest złożona z drzewa i metalu, jak młyn lub zegar ścienny; zańd- to materyjalnie z nim postępowałiscie, popsuli- ście ją nieodwołalnie ową nieubłaganą arabską dyjetą.

Przemawiałem do Mylorda po francuzku, on zaś mowę moję bez żadnej ogródki przełożył żokiejowi swojemu słowo w słowo na język angielski.

— Myli się doktor — ja suchot nie mam — od- powiē William z pogardliwym wyrazem twarzy, od mlēka, bulionu i braku ruchu zańd- tobym utył; stary Dick Jerkins, mój najniebezpieczniej- szy rywal, waży tylko 49 funtów, jeżeli można wierzyć dziennikom; mnie się zdaje, że jeszcze jem za wiele i za mało mam ruchu. Zanieś mnie Mylord na górę, nie lubię tego doktora.

Żadne przedstawienia nie pomogły; William został przy swojē, pomimo szczerych nalegań swego pana, który zwalczony mojemi namowa- mi i przestraszony niechybnemi następstwami, ofiarował mu 2,000 funtów szterlingów za od- stąpienie od konkursu żokiejów.

Odezwało się w angliku ludzkie serce, ale niestety za późno.

W kilka dni potem rozstaliśmy się z Mylordem, a w kilka tygodni później wyczytałem w gazetach angielskich, że William Nipps przeszedł wszystkich swych rywali swą lekkością i został mianowany na turfie w Epsom królem żokiejów; ale tegoż samego dnia, nie długo piastując godność swoją, umarł z wycieńczenia i wzruszenia.

Potem parlament angielski zakazał fabrykacyi żokiejów, jako zgubnej niemoralności.

ROZDZIAŁ III.

Polka we Francyi.

Niedaleko brzegów Śródziemnego morza i miejsciny znanėj Sigeant, położonėj na drodze z Perpignan do Narbonne, istnieje cudnie piękny folwarczek la Lucerne, a panią tego folwarku i blisko niego położonėj przędzalni jedwabiu, jest jakaś Mademoiselle Virginie de Markoski, sławna na trzy mile w okolo z swych cnót, rozumu i dobrodziejstw. Wszysey o niėj mówią z uwielbieniem, zwłaszcza jako o doskonałej lekarceznajacėj się wybornie na przyrodzie miejscowych lekarstw; tylko oficerowie zdrowia z okolicy nie z bardzo serdecznemi pochwałami

o niej przemawiają, zapewne dla tego, że im panna Markoski odbiera chleb i wzięcie.

Mademoiselle de Markoski? to jakoś brzmi z polska. Wielu znałem Markowskich w Kalijskiem i w Krakowskiem, znałem Markowskich chrześcijan, żydów a nawet przechrztów, z przydomkami i bez przydomków, żywiących się uczciwą pracą lub żyjących z lichwy.

— A czy ta demoiselle de Markowski nie jest przypadkiem polką? — pytam pocztarka, który mnie wiózł do Sijeau.

— Czy jest polką? — odpowie Roussiljończyk, — nigdy o tém w życiu swoim nie wiedział, żeby mademoiselle de Markoski miała być polką; tu się urodziła, my wzrosli w kraju z nią razem, niczem się nie odróżnia od naszych kobiet, tylko że roślejsza, że jasną ma cerę, i liściwsze serce. Ale że lubi polaków to ani słowa; chętnie ich przyjmuje u siebie, jednych karmi, drugim wyszukuje prace, innych jeszcze pracy naucza; wypada żeby i pan stanawszy w Sijenach przywdział bluzę, wziął kij i pobiegł do Lucerny złożyć wizytę tak dobroczynnej i mądrej osobie.

— Jakto? w bluzie i z kijem do takiej dostojnej osoby, z którą mieszka jej ciotka hrabina de Durban, niegdyś tak wielka pani?

— A jakże się pan dostaniesz z Sijeant do Lucerny, jeśli nie na ośle lub piechotą przez ów skalisty grzebień gór co tam wyziera? A kto nienauczony jeździć na ośle, ten się więcej na nim jak na własnych nogach zmęczy. Mój panie, u nas to i książęta podróżują piechotą z Sijeant do panny Markoski, bo trzeba wiedzieć że ta dama żyje z całym większym światem z okolicy, lubo sama nigdy nie opuszcza swego ustronia, nad którym wznosi się górski orzeł i mruczą fale Śródziemnego morza.

Pocztarek był poetą tak jak prawie wszyscy ludzie tego kraju; usłuchałem rady pocztarka.

* * *

Lucerna jest rajem, a panna Wirginija Markowska jest istotnie aniołem, nie zupełnie młodym, nie nadzwyczaj pięknym aniołem, lecz jednakże kobietą tak świetnie wyposażoną od natury ze strony umysłu i serca, tak dobrze i swojsko po naszemu przyjmującą, że trudno nie pokochać

tęj cudnej damy dziś już przeszło czterdziestoletniej, która pozostała dla tego panną, że jak mi zaręczała, nigdy do stanu małżeńskiego nie uczuła pociągu. Ona kochała wiele, lecz nie kochała się ani razu, i (jak utrzymuje) nigdy nie wznieciła w żadnym mężczyźnie bardzo gwałtownych zapalów miłosnych.

— U nas tu w kraju nie podobają się mężczyznom takie olbrzymie kobiety jak ja, zwłaszcza z jasnym licem i nie bardzo ciemnym włosom, — rzecze do mnie szczerze się śmiejąc panna Wirginija.

— Są to jednakże piękne znamiona sławiańskiego szczepu; ów wzrost, owe jasne pogodne oczy, owe roztropne czoło i rumiana świeżość na licach; wszystko to dowodzi że ojciec pani musiał być czysto polskim Markowskim.

— Tak zapewne jest; i on bowiem, jak dowodzi ten portret, jeszcze przed urodzeniem mojem, przed laty przeszło czterdziestu wykonany, i on bowiem miał jasną cerę, szatynowe włosy, modro siwe oczy i ów osobliwszy skład rysów dobrotliwego wyrazu, który znamionuje wszystkie sarmackie twarze, i który w sobie

samój, muszę to bez ogródki przyznać, znajduję w własnej mej fizyjononii. Niestety! nigdy nie widziałam ojca mojego; wzrosłam utrzymywana umyślnie w błędném mniemaniu, że jestem sierotą i tylko przypadek odkrył mi przed laty kilku, że mój ojciec żył jeszcze w r. 1812, i że był naczelnym lekarzem korpusu księcia Poniatowskiego osobistym przyjacielem tegoż woźdza. Nie wiem co się od tego czasu z mym ojcem stało i czy jeszcze jest w rzędzie żyjących: od wszystkich tu przejeżdżających polaków zasięgam wiadomości o rodzicu, który niegdyś tak ważną odgrywał rolę w historii rzeczypospolitej i cesarstwa, nikt nie wie o doktorze Markowskim; prawda że starszych nigdy nie miałam sposobności wybadywać ludzi, którzyby razem z nim służyli.. Może téż późniéj nawinie się sposobność, albo może téż dotrzyma słowa jeden z polaków, co mi obiecali zasięgnąć pod tym względem wiadomości. Smutno tak żyć nie wiedząc o swém pochodzeniu, a jeszcze smutniéj pomyśleć, że własna ciotka moja, jedyna po matce pozostała krewna, zaślepiona złe pojętą dumą, starała się zatrzeć wszystkie ślady pocho-

dzenia mojego, i wyrok wydała śmiertelny na pamięć po moim ojcu, któremu ona jednakże zawdzięcza swe życie.

— A tą ciotką jest?

— Taż sama hrabina de Durban, którą pan widzisz w altanie rozmawiającą z księżmi. Mój skromny domek, który mi zapisał w testamencie stary sługa mojej matki, a wielki wielbiciel ojca mojego, jest teraz jedynym przytułkiem niegdyś bardzo możnej, dziś jeszcze niesłuchanie dumnej pani hrabiny. Ona może wie nie jedno, dotyczące się pochodzenia i szczegółów życia ojca mojego, ale milczy jak grób, gdy się o niego pytam,—i o zaciętym republikaninie, którz ją uratował z pod topora gilijotyny, jednego nie wyrzeknie łaskawie brzmiącego słowa i nie przemówi nigdy...

Łzy stanęły w oczach pannie Wirginii, jej twarz tak pogodna zadrgała boleścią.

* * *

— Pani! twoje słowa tchną romantyzmem: ojciec doktor polski, republikanin ratujący swęj nieprzyjaciółce dumnej hrabini życie; stary słu-

ga zapisujący ci swój majątek; ciotka wychowująca cię w niewiadomości pochodzenia; wszystko to brzmi poetycznie i katastrofalnie; racz mi opowiedzieć co tylko wiesz o mym koledze i rodaku ojcu twoim; może to mnie zaprowadzi na ślad prawdy, może zdołam wyrwać niepamięci dzieje ziomka, świadka tak wielkich rzeczy.“

— Chętnie opowiem jeszcze raz to, co już ze stu z twych kolegów z ust moich słyszało. Może w twojej pamięci utkwią żale biédnej kobiety, niejako wyrzuconej z towarzystwa dziwnym zbiegiem okoliczności. Rodzice méj matki i méj ciotki hrabiny de Durban, zagorzali rojaliści, zostali w smutnych dniach terroryzmu wraz z wujem moim hrabią Durban uwięzieni, na śmierć skazani i ścięci. Tenże sam los miał spotkać młodą hrabinę Durban, i matkę moję; młodziuchną baronównę de Saint Dieuze, Doktor Markowski członek konwencyi narodowej, przyjaciel Robespiera, ale przedewszystkiém człowiek serca i honoru, potrafił ich ocalić z własnego życia niebezpieczeństwem, i w swém mieszkaniu dał przytułek nieszczęsnym córkom barona de Saint Dieuze. Moja matka miała wówczas lat szesna-

ście, pokochała dobroczyńcę swojego młodego przystojnego i wielce szanowanego lekarza; zawarła z nim tajemne, lecz przez kapłana sprzyśniętego uświęcone śluby. Ciotka moja, matka dwóch drobnych synów, wszystko odgadła gdy już było zapóźno, i podstępnie, tajemnie uwiozła z Paryża do tego ostatniego krańca Francyi dzieci swoje i siostrę, już w stanie błogosławionym znajdującą się. Stary sługa Antoni Maron, ujęty namowami, towarzyszył im i ułatwił podróż nadzwyczaj trudną i niebezpieczną. Tu w tym zakątku matka moja zległa, i życiem przypłaciła radość macierzyńską. Mamka moja była żoną Antoniego Marona, właściciela tego niegdyś bardzo lichego, dziś tak pięknie kwitnącego folwarku. Ciotka z dziećmi opuściła Francją, a mnie zostawiła tutaj z Antonim i z jego żoną, którym najsurowiej zaleciła aby mi nigdy nie wspominali o mém pochodzeniu, i wychowywali jako dziecko z miłosierdzia, do rodziny sługi przodków macierzyńskich przypuszczoną. A jednak wychowywałam się inaczéj jak się wychowują pospolicie synowie i córki naszych wieśniaków. Antoni Maron przewidywał dla mnie możliwość

powrotu do praw urodzenia, iłożył ile tylko mógł na wykształcenie moje. Pasterzowi parafii zwierzył się z tajemnicą pochodzenia mojego, i z nim się podzielił trudami i kosztami wychowania. Nauczano mnie starannie katechizmu, czytać, pisać, rachunków a nawet historyi, i do pewnego stopnia literatury francuzkiéj; a potém obznajmiano mnie nie tylko z robótkami kobiecemi, lecz nawet z przyrodą roślin, które tak hojną dłonią Bóg rozsypał po szczęśliwych łanach kraju naszego. Nareszcie stary a bezdzietny Antoni Maron, wywlócił niewiedzié z jakiej kryjówki jakieś popularne dzieła lekarskie francuzkim językiem pisane, których autorem był doktor Józef Markowski, i zalecił mi abym te dzieła czytała i z nich się nauczyła korzystać dla dobra cierpiących. Powtarzał mi codziennie w uroczystym tonie mowy, że ten doktor Markowski jest człowiekiem bardzo światłym, dobroczynnym, któremu rodzina moja wiele zawdzięcza, i tém wszczepił we mnie poszanowanie dla autora książek, zawierających tyle skutecznych, przeze mnie próbowanych rad. Nie dozwalano mi żyć jak innéj wieśniaczce, to jest tańczyć na uroczy-

stościach wiejskich , wstępować do karczmy lub też pracować w polu i zawsze mi powtarzano, że do czegoś lepszego jak na prostą wieśniaczkę urodzoną i wychowaną zostałam. Tak wzrastałam do lat ośmnastu , kiedy nagle prawie umarła moja mamka, którą zwałam zawsze matką. W rok potem stary bezdzielny Antoni pośpieszył za nią, objawiwszy mi wprzód tajemnicę urodzenia mojego, i zapisując mi cały swój majątek , ów folwarczek z polem, winnicą i śliczną plantacją drzew morwowych. Zostałam sama i rządziłam się dobrze pracując i pomagając bliźnim.

W roku 1813 wróciła skutkiem upadku Napoleona ciotka z synami już dorosłymi i osiadła w zamku swoim we wsi Durban o milę ztąd położonym. Wiedziała jakie mnie łączą blizkie węzły pokrewieństwa, ale nie dałam tego poznać, lubo mnie ciotka i jej synowie tak niby przypadkiem kilka razy odwiedzili i umyślnie badali, czy się nie domyślam pochodzenia swojego. Jeden z tych braci ciotecznych, starszy odemnie o lat dwa , nawet mi okazywał wiele przywiązania , pragnął zawrzeć ze mną bliższe stosunki, ale nigdy pomimo moich zręcznie przeprowadza-

nych fortelów, nie dał się nakłonić do wyznania, że zna tajemnice mojego pochodzenia. I ja go kochałam więcej, jak kiedykolwiek w życiu innego młodzieńca, lecz zrażona jego uporem, późniiej nawet jego nieprzyzwoitą natarczywością, zamknęłam serce swoje dla niego i unikałam go jak czarta kusiciela; nawet się zamknęłam szczelnie w domu, aby go nigdy nie spotykać.

Bóg wie, jakie miał Wiktor zamysły, ale mnie przekonał, że nasza szlachta w najdotkliwszych niedolach nie postradała przyrodzonego jej pociągu do swawoli i niemoralności; więcej jak kiedykolwiek pokochałam nasz pracowity, moralny i waleczny lud, pomiędzy którym byłam wychowana w enocie i religii.

Ciotka odzyskała większą część wprzódy przez naród skonfiskowanych dóbr; ale późniiej w przeciągu sześciu lat postradała jednego syna na wojnie, drugiego w pojedynku, oraz majątek z ich i z własnej winy, dzięki przepychowi, bezrządom i wdawaniom się w niedorzeczne spekulacje. Przez lat jeszcze kilka mogła roślinkować w wielkim świecie, dzięki dawnym stosunkom z dworem i z magnatami, a nareszcie przywie-

dziona do zupełnego niedostatku, schorzała i opuszczona zjechała do mnie i zdjawszy pychę z serca, wyznała mi, jakie ją bliskie ze mną łączą węzły pokrewieństwa.

Już wówczas byłam wcale niemłoda, ale dzięki pracy i szacunkowi publicznemu mnie otaczającemu z losu swojego zadowolioną panną. Bóg mnie uposażył zdrowém ciałem i zdrową duszą; wychowanie miłością do pracy, a religija surowym sądem względem siebie, pobłażliwością dla bliźnich. Opuszczoną ciotkę swoją przyjęłam jak własną matkę i całkiem się poświęciłam na uprzyjemnienie jój resztki burzliwie spędzonego, od wyrzutów nie zupełnie wolnego życia.

Wszystko co tu pan widzisz około siebie, te winnice, stawy, pola, plantacje drzew morwo-
wych, jedwabnicwo, wszystko to wzniosłam na skałach, sapach, jarach i trzęsawiskach prawie własną ręką. Przeszło sto pięćdziesięciu ludzi znajduje dziś pożywienie na tym kawałku gruntu, który sprzedany był lat temu czterdzieści, za dwadzieścia tysięcy franków; słowem dzisiaj przynosi więcej dochodu, niż kiedyś ze wszyst-

kiem, co na nim stało, warte było. W widoku tych pocieszających wyników czynności mojej, w widoku skutecznych usług, które jako lekarz świadczę całemu sąsiedztwu, wyrzekłam się chętnie wszelkiego innego szczęścia, i nawet nie uczuwam, że tém wyrzeczeniem się robię jakąkolwiek ofiarę.

Porównywając szczęście swoje ze szczęściem kobiet poddających wolę swoją pod zarząd małżonka, nie raz miałam sposobność cieszyć się samoistnością pozwalającą mi działać według własnego upodobania, a wychowując, i umieszczając w świecie obce dzieci, nie zazdrościłam matkom wychowującym własne dzieci, które je często mimowolnie zbytnią miłością psuły. Wkrótce nawet, przetrwawszy lat kilka w głuchéj tęsknocie za inném więcej wzruszającym szczęściem, uznałam, że Bóg nie nadarmo uposażył mnie takimi siłami, któremi przychodziło mi łatwo zwalczając nagabywania, z woli natury kobietę nawiedzające. Nareszcie wzięłam to za missyją od Boga, co może tylko w skutek dziwnego składu stosunków, stało się dla mnie wyjątkowém prawem,

uznałam się za osobę przeznaczoną za wzór dla kobiet, które w połączeniu małżeńskim szczęścia szukać nie umieją, nie mogą, lub też nie chcą; i zostałam ową klasyczną starą panną, pod której sztandar zgłosiły się wkrótce wszystkie starsze Westalki w tej okolicy na dziesięć mil w okolo. Teraz jesteśmy zorganizowanym hufcem, i czoło możemy stawić nie tylko młodym pannom spoglądającym na nas niegdyś z jakimś głupim urąganiem, nie tylko mężatkom traktującym nas ze wzgardą, lecz nawet mężczyznom, lubiącym żartować, szydzić, po prostu kpić z biednych starych panien, na których wartości poznać się nie umieli. Takim sposobem wzniosłyśmy się w naszych własnych i w publiczności oczach, i dziś dowodzimy światu, że stara panna, byleby umiała i chciała pracować, może się czuć użyteczną i szczęśliwą na tym świecie, co nadzwyczaj wiele białogłów pogodziło z ich panięństwem, i koniecznym następstwem wpłynęło na podwyższenie szacunku z jakim mężczyzna spotyka kobietę.

Ale, wracam do głównej kwestyi, i przepraszam, żem się tak długo rozwodziła nad położe-

niem starój panny. Muszę panu przyznać, że ciągle zatrudniona gospodarstwem, nie wiele zatrudniałam się polityką; urodziwszy się w tój dolinie, odgraniczonój od światła morzem i skałami, wzrastalam tutaj sierotą, nie czując niedoli swojój, a późniój panną wiedzącą że mnie urodzenie; chociaż niewykwintne ukształcenie, do wyższych sfer towarzystwa przeznaczyło. Wyrzekłam się jednakże tego towarzystwa, dzięki zdradzieckiemu postępowaniu własnego brata ciotecznego, dybiącego na honor tój samój kobiety, którą już matka jego wyzuła z mienia i z praw urodzenia.

Podobno późniój ojciec mój miał zostać profesorem uniwersytetu w Krakowie, a według najnowszój piśmiennój wiadomości od jednego z polskich lekarzy, składających w Montpellier egzamen, doktor Markowski Józef miał umrzeć jeszcze przed 1830 rokiem w Krakowie, profesorem medycyny w wszechnicy. Pisałam do konsula francuzkiego w Krakowie, aby sprawdził te wiadomości i przysłał mi akt zejścia nigdy przezemnie niewidzianego ojca, prosiłam go zarazem, aby mi napisał czy nie zostawił rodziny

pomocy potrzebującej. Od dwóch miesięcy oczekuję odpowiedzi, lecz dotychczas żadnej nie otrzymał, ekscytować będę konsula przez ambassadora. Może pozostały dzieci po moim ojcu? może ja mam braci lub siostry potrzebujące mój pomocy?

Szczerego rozrzewnienia lzy stanęły dzielnej pannie w oczach, jej twarz zbladła, usta zaś zadrgały. Pocziwe stworzenie! tyle czucia względem dzieci tego ojca, który się o nią nigdy nie dopytywał.

Ale czyż mógł się dopytywać? on istotnie nie wiedział gdzie mu uwiezono żonę.

Nie jest moim zwyczajem bawić wiecznie, a nawet tylko długo na jednem miejscu; więc też i w nowój Lucernie u panny Wirginii, gdzie mi zresztą bardzo dobrze było, nie usiedziałem długo. Przekopijowawszy sobie z pozostałych u córki książek, własnoręczne jego przypisy; przypatrzwszy się przez dni kilka jedwabnictwu, w którym pracowały tylko niewyrosłe dziewczynki, pod dyrekcją kilkunastu starych, z losem swoim pogodzonych Westalek, pożegnałem się z panią tój

krainy obiecując wrócić najdalej po złożeniu egzaminów w Montpellier z wiadomościami o doktorze Markowskim.

* * *

Niestety! nie zawsze można dotrzymać słowa i przewidzieć co nas spotka; najmocniejszym charakterem obdarzony człowiek nie kieruje ciągle sterem losu swojego.

Z Montpellier wyjechałem w szesnaście miesięcy potem do Paryża, i pobawiwszy tam półtora roku udałem się do Poznania celem osiedlenia się tamże.

Tutaj w Poznaniu znalazłem u doktora Ludwika Gąsiorowskiego, zasłużonego dziejopisarza sztuki lekarskiej w Polsce, pierwsze autentyczne ślady dowodzące, że doktor Józef Markowski był istotnie tym samym lekarzem, który niegdyś wiele znaczył w Paryżu.

Posłuchajmy co o nim mówi Dr. Gąsiorowski w tomie trzecim Zbioru wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce.

„Markowski Józef doktor medycyny i filozofii, professor chemii i mineralogii przy akademii Kra-

kowskiéj, urodzony na Ukrainie w mieście Pi-kowie dnia 4 kwietnia roku 1758, od roku 1781 do 1785 przykładał się w szkole głównej kra-kowskiéj do nauk przyrodzonych i lekarskich z taką gorliwością i postępem, iż Kommissyja edu-kacyjna przeznaczwszy go na przyszłego nau-uczyciela, dla wydoskonalenia się, wysłała go na-kładem Rzeczypospolitéj na lat cztery do Paryża, wydawszy mu już przy wyjeździe z kraju patent na profesora chirurgii w szkole głównej. Atoli późniejsze wypadki zatrzymały go w Paryżu dłużej jak pierwsiastkowo pozostać zamyślał. W ciągu *dwudziesto-pięcioletniego* pobytu w sto-licy Francyi przykładał się nie tylko do nauk le-karskich, ale i do przyrodzonych. Jego profes-sorami chemii byli: Fourcroy; Deyeu, Sage, Dar-cot, Berthollet, Vauquelin i Thénard. Dowiedzia-wszy się roku 1809 o utrzymaniu przez rząd Księstwa Warszawskiego szkoły głównej Kra-kowskiéj, jako dawny akademik postanowił niezwłocznie wrócić do Krakowa. Porzucając zaszczytny obowiązek lekarza przybocznego ce-sarzowéj Józefiny, zaopatrzony listami bawiących wtedy w Paryżu: jenerała dywizyi Zajączka,

później Księcia Namiestnika królewskiego w Polsce, i Ordynata hrabi Zamojskiego, polecających oddawcę hrabi Stanisławowi Potockiemu prezesowi izby edukacyjnej, stanął w Warszawie w 1810 roku, i wkrótce mianowany był professorem chemii w szkole głównej Krakowskiej, chociaż najmocniej pragnął jakiejś katedry lekarskiej. Umarł roku 1829 w Krakowie: pisma jego są następujące:

1. Rozprawa o wpływie chemii na nauki lekarskie czytana r. 1819.

2. Rozprawa o Toksykologii czytana na posiedzeniu Towarzystwa naukowego w Krakowie, r. 1824, (drukowana w Rocz. T. N. K).

3. O wodzie mineralnej Krościeńskiej w Galicyi, cyrkule Sandeckim, czytana na posiedzeniu naukowego Tow. r. 1827.

4. Rozprawa o rozbiorze wody mineralnej Swoszowickiej."

O dziele *la Médecine populaire*, które Dr. Markowski wydał w Paryżu, nic nie wspomina Dr. Ludwik Gąsiorowski.

Wszystkie te wiadomości i niektóre inne z życia domowego ojca, przesłałem pannie Wirginii

Markowskiéj z Poznania do nowéj Lucerny, za co mi najserdeczniejszym listem podziękowała, uwiadamiając mnie zarazem, że się u niéj wychowuje dziesięcioletnia wnuczka jéj ojca, którój przypadkowo także na imię Wirginija. Prosiła mnie abym się od dawnych znajomych ojca dowiedział, jakim sposobem cudzoziemiec dostać się mógł na ważną posadę doktora cesarzowéj Francuzów.

Przez bardzo długi czas moje poszukiwania pod tym względem były płonne, aż dopiero przed dwoma laty przeglądając niewydane jeszcze Pamiętniki, napotkałem cały ustęp poświęcony doktorowi Markowskiemu i wyświetlający jego stosunki z najdostojniejszymi osobami. Pozwaliśmy sobie z tych nader zajmujących pamiętników, wspomniony ustęp tutaj żywcem oddać.

„Za czasów dawnego rządu polskiego, około roku 1788, akademija Krakowska wysyłała zdatną młodzież z wydziału lekarskiego do Francyi, aby się doskonaliła w akademijach Paryżkiéj i Montpelijerskiéj. Pomiędzy tą młodzieżą był także wspomniony Markowski, który znajdując się w Paryżu w czasie pamiętnéj rewolucyi i okro-

pnego terroryzmu, był jako lekarz praktykujący wyznaczony wraz z innymi swojemi kolegami do nadzoru i leczenia chorych więźniów politycznych; a ponieważ w jego sekcji znajdowała się wtedy mocno chora Józefina, wdowa po świeżo gilotynowanym jenerale Beauharnais, Markowski wszelkimi sposobami osłaniał jęj wyzdrowienie, a przez to ocalił ją od gilotyny, której pewno stałaby się ofiarą.

Potem udał się Markowski jako lekarz do Polskich legijonów, a gdy w roku 1807 po powrocie naszej legii z krajów Włoskich, Markowski przybył do Paryża, dokąd i cesarz Napoleon z pod Tylży na tedy powrócił, i gdy cesarz świetny sztab przedstawiał Józefinie cesarzowej, w którym sztabie jako adjutant cesarski znajdował się oficer bardzo podobny do Napoleona, Józefina uderzona tém podobieństwem i młodym bardzo wiekiem officera, zapytała ktohy nad nim w Paryżu miał opiekę, aby jego niedoświadczona młodość nie uległa panującemu wówczas zepsuciu. Officer śmiało odpowiedział, iż zostaje pod opieką doktora Markowskiego. Słyszając to Józefina wpadła w radosne uniesienie głośno wypyując się

czy żyje wybawca jój i dobroczyńca. Natychmiast poleciła officerowi aby jój własną karetą niezwłocznie sprowadził Markowskiego do cesarskiego pałacu. Skoro tylko przybył Markowski na pokoje, cesarzowa przyjęła go z rozrzewnieniem i głośnie wznurzeniem wdzięczności, za pamiętną i tak ważną dla niej zrobioną kiedyś przysługę, a na chwilę zapominając swojej wysokiego dostojności i tylko idąc za popędem własnego, wdzięcznością przenikniętego serca, z wielkiem zdumieniem całego dworu, rzuciła się w objęcia Markowskiego, rzewnemi skrapiając go łzami. Tak czulej sceny będąc świadkiem cesarz, i znając do tego powody, sam także również mu dziękował i oświadczył się mu, aby wszystkiego co zechce od niego żądał, i że pragnie obsypać go swemi łaskami; ale Markowski za wszystko mu z godnością i dumą podziękował.

Ja więc znając Markowskiego jako byłego lekarza naszego legijonu, a wiedząc o łaskawych względach na niego cesarzowej, prosiłem go o rekomendacyjny list do niej, abym znowu od cesarzowej mógł uzyskać list polecający mi nie lasce jój syna księcia Eugenijusza. Markowski

z wielką chęcią napisał list żądany, polecając mnie jako swojego ziomka wysokim względom Najjaśniejszej pani.

Przybywszy do Strazburga, gdzie Józefina także się znajdowała, przybrany stosownie; udałem się do zamku cesarskiego i tam szambelanowi Bomour oświadczyłem, że mam list do cesarżewej, zapytując: czy mi wolno będzie widzieć się z nią osobiście. Szambelan wspomniony tak był grzeczny, że natychmiast udal się do najjaśniejszej Pani, która ze zwykłą sobie dobrocią wysłuchawszy jego oznajmienia, rozkazała abym zaraz stawił się przed nią. Prowadzony więc przez ogromne i liczne salony, zastałem monarchinią w pośród wystawnego dworu, otoczoną świetnym bardzo gronem dam najznakomitszych, które składały: królowa Hollenderska, królowa Westfalska, księżna Badeńska, tudzież jenerałowa Krasieńska, żona dowódcy gwardyi, z domu księżniczka Radziwiłłówna, także pułkownikowa Łubieńska, żona Tomasza Łubieńskiego z domu hrabianka Ossolińska, i wiele innych słynnych urodą i znaczeniem kobiet.

Złożywszy powinne uszanowanie cesarzowej, oświadczyłem, że oddaję w jej ręce list od znanego doktora Markowskiego, jako przejeżdżający kuryjer do jej syna vice-króla włoskiego. Zapytany jak długo mogę zabawić, odpowiedziałem że obowiązany jestem śpiesznie jechać z powierzonemi mnie depezbami. Natychmiast więc usiadła przy swoim biurku do napisania dla mnie pożądanego listu do księcia Eugenijusza, któren mi oddając zapytała, którędy mam zamiar jechać do włoskiego kraju. A ponieważ miałem jechać na szwajcarskie miasto Konstancyją, przestrzegła mię z nieporównaną dobrocią i uprzejmością, że tamtędy bardzo niebezpiecznie jechać, bo w tym kantonie wybuchło powstanie przeciwko francuzom, i gdziebym pewno został przytrzymany, a może zamordowany; doradziła mi przeto udać się przez mały Saint-Bernard i Mont-Simplon do Medyolanu, którędy drogi były bite i ubezpieczone. Korzystając zatem z tak dobroczynnej rady, wyjechawszy ze Strasburga wskazaną mi drogą, szczęśliwie przybyłem do Medyolanu.“

* * *

Już teraz wię sędziwa, ale zawsze zdrowa, serdeczna i wesoła panna Wirginija Markowska kim właściwie był jój ojciec, którego dopiero na tamym świecie ujrzy.

Ale się nie spieszy na tamten świat, bo jój tu dobrze; i tu jeszcze potrzebna wnuczce swego ojca, która przed sześcią laty poszła za mąż i jest matką trojga dzieci.

ROZDZIAŁ IV.

Śmierć zmyślona.

W kilka dni po opuszczeniu gościnniej „nowej *Lucerny*“ napotkaliśmy w dyliżansie jednego z wiarusów Wielkiej Armii.

Tym starym szczątkiem Cesarstwa, był kapitan Bourdon, już nam cokolwiek znany ze Wspomnień z podróży.

Stary, otyły, skrzętny burczymucha, który się w późnym wieku wziął do gospodarstwa wiejskiego i dzięki zabiegłości swojej, ślicznego się dorobił majątku, lubił swych dawnych towarzyszków broni, a mianowicie Polaków, tak wiernie Napoleonowi służących i tak lichy za swe po-

święcenia wynagrodzonych; i lubo sam miał synowca, który zarazem jego był pasierbem i wychowawcem, wydziedziczył go jednakże jeszcze za życia z majątku i najznacniejszą jego część oddał swój wnuczce, żonie ziomka naszego.

Opowiemy tutaj tok całej téj bardzo głośnej w całym sąsiedztwie sprawy, i tém usprawiedliwimy heroiczny, a przez wielu z tutejszych obywateli ganiony czyn starego żołnierza.

* * *

Jednego pięknego południa wraca kapitan Bourdon z Perpignan do swego zamku.

Trzeba wiedzieć, że przed kilką laty, stary żołnierz zubożony hodowaniem pszczół, nabył przyległą swój małej posiadłości, zadłużoną i spustoszałą baronią Asignan, i że tamże mieszkał w średniowiecznym zamczysku, zupełnie jak potomek starodawnego rodu.

Wraca więc po kilkudniowej podróży do swego zamku i zawsze przezorny, zwiedziwszy swe stajnie, obory, stodoly, śpiichlerz, łamus i spiżarnię, załaził i do wędzalni, w której się wędziła wielka ilość szynek, ozorów, polci, kielbas, pół-

gąsków i najrozmaitszych wielkich ryb morskich.

Stary wiarus miał inwentarz tego wszystkiego z sobą i zaczął sprawdzać, czy nie brakuje czegoś; liczy tedy nie dbając o dym, który mu żre oczy.

— Do milijona najsiarczystszych fur beczek batalijonów! tu byli złodzieje! krzyknie z największą złością kapitan Bourdon, — tu byli złodzieje i skradli mi szynkę, dwa ozory, węgorza dwulokciowego i trzydziesto-funtowego lososia. Złupili mię, okradli mnie z najpiękniejszej wędliny! ale klóz mógł popelnić taką zuchwałą kradzież, jeśli nie właśni moi ludzie! Poczekajcie hultaje, dam ja wam! czy was to źle żywie? Oj bić będę i mordować, aż wam ozory i węgorze bokiem wyjdą.

Z największą zapalczywością stary Bourdon zwraca się ku ciężkim żelaznym drzwiom, które prowadziły do wędzalni; — w tém te drzwi zatrzęsły się z zewnątrz, i ogromny huk rozlega się po zamku.

Z wewnątrz, ani można otworzyć tych drzwi,

bo skobel opatrzony był kapturem, który nie pozwolił odsunąć rygla.

Kapitan tłucze, puka, grzmi czém może w drzwi, rozpacz dodaje mu sił. Ale co tu wskórać przeciw żelazu na pół cala grubemu, i opatrzonemu szynami na krzyż i na poprzek idącemi?

— Jestem pewien, że mi tego figla umyślnie splełali złodzieje, — rzecze kapitan oblany od stóp do głowy potem.

Bali się mego gniewu i tu mnie uwięzili, że bym się uwędził żywcem wraz z mojami polćiami i ozorami. Wielki Boże w niebiosach, w jakim się znajduję położeniu; komu tu na myśl przyjdzie, że ja tu siedzę w téj odległej od mieszkań wędzalni? Panie Boże w niebiosach, zlituj się nademną i wybaw mnie z tego położenia. Ach, jak mnie ten dym szczypie w oczy.

* * *

Rozpaczą uniesiony, Bourdon, szuka po wszystkich kątach, znajduje ogromny kamień i nim wali co ma siły w drzwi. Moc żelaza urąga się

z próżnych usiłowań biédnego więzionego i wędzonego kapitana. Ale się rozlega głośny łoskot po zamku, i na raz, kiedy już więzień upadał pod ciężarem smutku, znoju i dymu, klucz z zewnątrz obraca się w zamku, drzwi się otwierają i okazuje się w nich prześliczna, hoża, młoda dziewczyna.

— A, to ty Tulpciu? to ty mnie zamknęłaś, szkaradnico? nie wypieraj się, tyś mnie tu zamknąć musiała, kiedyś się znalazła tak blisko, — krzyknie kapitan wrząc ze złości.

— Jak téż to jegomość myśleć może tak źle o mnie? — odpowie z żalością Tulpcia. — Siedziałam w dolnych pokojach i przyszywałam koronki do firanek, gdy nagle zaczął się rozlegać jakiś szuk i puk zdaleka i glucho po całym zamku; poszłam za łoskotem i nareszcie po długim błakaniu zaszłam tutaj. Najniezawodniej wiatr, który dmie bardzo silnie, musiał zatrzaskać drzwi za jegomością; nie kto inny tylko wiatr, bo oprócz mnie i dwóch dziewczek ze mną pracujących, nie ma w téj chwili żywéj duszy w zamku.

— No, weźmy na to, że prawdę mówisz, co być nareszcie może, moja Tulpciu, — rzecze

Bourdon cokolwiek udobruchany, — ale kto do djabła zakradł się tutaj do mojej wędzarni i porwał mi szynkę, dwa ozory, węgorza i najpiękniejszego łososia, jaki świat widział! kto mi to ukradł? Ty o tém wiedzieć musisz, bom tobie zostawił klucze, ty odpowiedzialna pieniędzmi i i reputacją za kradzież! —

— Wielki Boże! jak to można tak płocho obwiniać ludzi, zwłaszcza w tym wieku, mój jegomość — rzekła markotnie Tulipcia. — Nie przypominaj sobie jegomość, jak obiecał, lat temu dwa proboszczowi z 3-go Nazarza szynkę, ozory i ryby? było to właśnie po pogrzebie świętej pamięci Julii córki pańskiej; otoż ksiądz czekał dwa lata na spełnienie obietnicy, a teraz wydając siostrę za męża, zaprosił jegomości na wesele i upomniał się o wędliny. Ja, jako obecna obietnicy, nie wahałam się zgodzić na jego żądanie i zapomniałam panu o tém oznajmić. Oj, nie ładnie tak być skorym do obwiniania i zawsze tak nieufnym, — dodała Tulipina i ze łzami w oczach wróciła do zamku.

* * *

— Łzy w pięknych oczach panny Tulipiny? i to łzy żalości jak widzę?—spyta nagle w ogrodzie zamkowym przechadzający się wysoki, piękny młodzieniec.

Tulipcia zadrżała, oczy otarła, i chciała się uśmiechnąć, ale to wysilenie jeszcze rześsiste łzy wydało z jój oczu.

— Co się pani stało, droga panno Tulipo? czy pani kto ubliżył? czy się pani coś złego wydarzyło?—pyta dalej młodzieniec, a po rumieńcu znikającym z jego lica sądzić mogłeś o szczerości jego wzruszenia

— Ach drogi panie Bolesławie!—odpowie szlochając Tulipcia, —znów się przekonałam dzisiaj jak to smutno być biędną sierotą i jeść chleb łaski u własnego bogatego krewnego, Pan nie wiesz jak taki chleb jest gorzki.

— O wiem, wiem, moja droga pani, i dla tego wolę jeść chleb pracy i znoju u obcych, — odpowie młodzieniec francuzczyzną płynną, ale cudzoziemskim akcentem, i doda:—ale moja droga Tulipo, bądź szczerą i otwartą ze mną: uczucie samotności i osierocenia nie mogło wycisnąć ty-

le lez z twoich pięknych oczu; musiało się pani przytrafić coś szczególnie martwiącego.

— Tak jest istotnie, panie Bolesławie; wystaw sobie że mnie stary kapitan posądził o zamknięcie go umyślnie w wędzalni i o skradzenie mu wędliu. Nie; dalibóg to już za nadto, pracować tu muszę jak murzynka a żadnej nie mam korzyści z powinowactwa mego z mym panem; wolę ja służyć u obcych, tak jak ty panie Bolesławie. Ja pójdę do Polski za guwernantkę, umiem po francuzku czytać, pisać i tańcować, co podobno dosyć na utworzenie sobie u was bardzo pięknego losu.

— A niechże Pan Bóg broni żebyś pani wyszła na guwernantkę, zwłaszcza w naszym kraju, — odpowie pan Bolesław ściskając białe rączki czarnookiej dziewczicy.

— A to czemu? przecież nie jedna powraca ztamtąd z majątkiem.... zarzuci Tulipcia.

— Bóg wie jak zebrany majątkiem, mój piękny aniele. U nas skromne i religijne, tylko nauczać umiejące francuzki, nie zrobią majątku, u nas popłacają takie guwernantki, co we Francyi były akuszerkami, markietankami i hecarkami

mi w cyrku konnym, lub jeszcze innego rodzaju awanturnikami. Pojedziesz do Polski panno Tulipo, ale ze mną razem, kiedy będziemy mogli założyć w Warszawie restauracją lub magazyn mód. Łatwiej żyć u nas z karmienia i odziewania ciała, jak z kształcenia duszy. Tulipciu, przebacz swemu dziwacznemu dziadkowi, prawda że to raptus, nieufny, skąpy i burzący, ale grunt jego serca jest najlepszy, złoty, i na tym gruncie ja ufunduję podstawę twego szczęścia. Miej cierpliwość Tulipciu, chociażby tylko dla tego że to cnota chrześcijańska.

— Mój dobry panie Bolesławie, ty zawsze koisz moje żale, i umiesz mi wlewać nadzieję w serce, — rzekła z wyrazem serdecznej wdzięczności Tulipcia, — a jednakże jak sobie wspomnę że ja tu jestem od pięciu lat w domu i krewną pana domu, a gdy zważę że ty już od dwóch lat przebywasz dla nauczania się pszczolnictwa i że złamanego grosza od starego Harpagona nie dostaliśmy za tak liczne i rozmaite oddane mu usługi, wówczas wzięwszy rzecz na rozum, wątpić muszę o urzeczywistnieniu tych błogich nadziei, któremi siebie i mnie łudzisz. Mój ciote-

czny dziadek jest przedewszystki \acute{e} m skapcem i tak zamilowanym w długo-trwałości i świetności swego arcygminnego nazwiska Bourdon, jak jaki Bouillon, Bourbon,, Boufflers, Briançon, lub Buffon. On lubo zdaje się nie kochać swego wyrodnego pasierba i synowca, funduje jednakże na jego mężki \acute{e} m już żyjąc \acute{e} m potomstwie, nadzieję przyszłego blasku rodziny Bourdonów; trudna tedy z nim będzie sprawa, jeżeli opierasz swe widoki na jakimś znacznym zapisie lub wsparciu, mnie, jego ciotecznej wnuczce udzielon \acute{e} m, zwłaszcza że jesteś cudzoziemcem i że kraj swój kochasz. Niechby się jeszcze dowiedział że ja ciebie....

Tu Tulipcia ucięła mowę i zapłon \acute{e} ła się, a pan Bolesław calując j \acute{e} y rękę, rzekł:

— Niechby się jeszcze przypadkiem dowiedział że ty mnie kochasz Tulipciu, wypędziłby mnie z domu, niepomny usług którem mu wyświadczył z tak dobr \acute{e} m, wiern \acute{e} m sercem.

— Przypisałby te usługi, mój dobry Bolesławie wcale innym powodom, a nie prawdziw \acute{e} y przyjaźni, któr \acute{e} y mu tyle razy dał \acute{e} s dowody. On jest z natury, z przekonania i w skutek swych

smutnych doświadczeń nieufnym, i nigdy nie za-
wierzy żadnemu człowiekowi, bo ze strony naj-
bliższych krewnych zanadto srogich doznawał
zawodów.

— Wszystkiém tém nie zachwiejesz méj wia-
ry w rozum starego kapitana; za nadto wiele
okazuje mi swego zaufania, nawet w pienię-
żnych interesach, zebym mógł wątpić o jego
przyjaźni dla mnie. Proszę cię, upoważnił mię
do wystawienia kwitów na jego nazwisko, upo-
ważnił mię do podpisywania jego nazwiska;
gdybym chciał nadużyć tego pozwolenia, mógł-
bym go straszliwie okraść.

— Ha, ha, ha! mój dobry Bolesławie, — odpo-
wié śmiejąc się Tulpina, — właśnie to jest dowo-
dem jego nieufności a nie zaufania; on ciebie
chce próbować,..... sam ciągle wyjeżdża, bo mu
to na zdrowie idzie, i w bezprzestannych jest
stycznościach z bankierami, kupcami, z którymi
masz do czynienia; ręczę, że się już wszędzie
zabezpieczył, od możliwych niespodzianek z two-
jój strony; zresztą braknie ci panie Bolesławie
sposobności wyplątania mu najmniejszego figla

od dwóch lat nie oddalasz się prawie wcale z tego zamku Asignan, chyba, że się przejedziesz do twych ziomeków doktorów w Narbonne, Beziers, lub do Cette, z którymi i on żyje bardzo ściśle, tak jak każdy z naszych starych wiarusów żyje z wami. Z tego, że się z wami bawić lubi i krzepi sobie serce rozpowiadaniem o dawnych wojnach, nie wypada jeszcze, żeby wam bardzo ufał. Nie! nie! taki człowiek, który jest w stanie posądzić swą wnuczkę o skradzenie szynki, dwóch ozorów, węgorza i dużego łososia, nie! taki nikomu zaufać nie jest w stanie, nie! nie! nie!—

I znowu piękne, czarne oczy Tulipci załwały się dyjamentowemi perlami, a pan Bolesław słysząc z daleka burczący głos Bourdona, uciekł z pod okna w szpalery.

* * *

Lecz w niespełna miesiąc potem, nasi młodzi kochankowie zamienili względem siebie role: Tulipcia stała się pocieszycielką swego dawnego pocieszyciela pana Bolesława. A wszystko

to zaszło skutkiem wcale niespodzianej i smutnej zmiany położenia.

Jednego popołudnia kapitan wraca z Cette, i woła pana Bolesława do siebie.

Strasznie zagniewanie wyglądał stary Bourdon i temi słowy przywitał naszego ziomka :

— Cóż to znaczy, panie Bolesławie? do jakiego daleś się naklonić szkaradnego czynu? czy zasłużyłem na ten brak zaufania? Jeśli ci potrzeba było do spłacenia jakiego honorowego długu tych mizernych czterech tysięcy franków, to mi trzeba było powiedzieć, a nie uciekać się do podobnego nadużycia zaufania mojego. Do milijona fur heczek batalijonów, jakżeż można było fałszować mój podpis na wekslach, kiedym cię tylko upoważnił do naśladowania go na kwitach? ja sam nigdy nie podpisuję weksli za nic w świecie, przecież wiesz, że mam dosyć gotowych pieniędzy w méj żelaznej, bombotrwałej kassie, opatrzonej samostrzałami i puginami jak jaka forteca. Komuż to teraz zaufać, kiedy mnie zdradza mój najulubieńszy uczeń? mój wychowaniec, syn mego majora, zwanego le bra-

ve des braves przez całą dywizyją. Boże! Boże wielki, komuż tu teraz ufać?

Stary żołnierz czerwony jak burak, bił się pięściami w głowę; a Bolesław struchlał, zbladł, szczęki mu zakłapały.

— Dowody! dowody! na miłość Boga, dowody! jętkły jego usta.

— Dowody? a to dobre? — odburknie Bourdon, — otóż ten weksel jest najlepszym dowodem, że tak jest a nie inaczej. Odkupiłem go: 4,000 franków, panie Bolesławie, to nie chodzi piechotą, zwłaszcza w tych czasach. A pfe, panie Bolesławie, nie dobry sposób zapożyczania się u przyjaciół swoich.

Na te słowa Bolesław zgrzytnął zębami i pięści ścisnął, aż mu w palcach trzasło.

— Kapitanie, ostrożnie ze mną! — wrzasnął młodzieniec głosem, od którego wszystkie okna zadrżały, i wszystkie echa starego zamku przebudziły się. — Kapitanie, ostrożnie ze mną, bo ja w obronie honoru swojego, tak dotkliwie obrażonego, gotówbym się zapomnieć!...—

Oczy starca nagle zwrócone na młodzieńca

z wyrazem: Stój! baczość! — nakazały przerwanie mowy i myśli.

Młodzieniec ochłonął od jednego razu, i rzekł z nieporównaną szlachetnością:

— Kapitanie! ja jestem najzupełniej niewinny, tego wekslu nie podpisałem, ani Bogu dzięki żadnego innego. Pozwę kapitana za oszczerstwo przed trybunał, a potem wygrawszy sprawę, wyzwę cię na pojedynek, wolę zginąć, umyślnie zginąć, jak żyć z pamięcią, że człowiek, którego tyle kochałem, mógł mi tak ciężką zadać obrazę.

Staremu kapitanowi opadły ręce, w ostatniej chwili po Napoleońsku złożone; śledzące, roztropne oko jego, błysło szlachetnego uczucia uznaniem; milczał chwilę, a potem rzekł:

— Nie, panie Bolesławie, nie! nic z tego nie będzie, nasze trybunały potępiłyby cię, żebyś był najniewinniejszym, bo ja jestem bogatym, a ty biédnym, bo ja jestem francuzem, a ty cudzoziemcem. Twój pistolet zabilby mnie, nawet gdybyś chciał chybić i dźwigałbyś przez całe swe życie ciężar okropnych wyrzutów. Wierzę, że jesteś niewinnym w tej sprawie, pomimo po-

zorów obwiniających cię: ale chciałbym mieć tak matematyczne przeświadczenie o twój niewinności, jak teraz jestem pewnym, że słońce świeci; więc cię proszę i błagam, wstrzymaj się od wszelkiego prędkiego kroku i pozostań w domu, którego od lat dwóch jesteś podporą, pociechą i roskoszą. Bóg, który nam tę ciężką próbę nasał, raczy się zlitować nad nami, i coś zrobi co nas z sobą pogodzi. Zresztą, przyznać muszę, że w méj duszy zaczynają pokutować myśli, które od ciebie odwracają podejrzenie i zwalają je na innego, na innych mówię ludzi. Ale dosyć o tém, dosyć: przepraszam pana jak najsolenniiej, i proszę, abyś puścił w niepamięć tę całą przygodę, i żył ze mną dalej, tak jak przedtém, to jest jak ze starym, dobrym przyjacielem.

— Nie, panie Bourdon, już pod jednym dachem nie mogę pozostawać z tobą, przynajmniej tak długo, aż się ta brudna, tajemnicza sprawa nie wyświekli, rzecze pan Bolesław.

— Więc ja ustępuję z pod mojego dachu, i tak długo błąkać się będę po obcych siedzi-
bach, aż wytropię winowajcę, który tak przy-
krych scen i uczuć stał się powodem, — rzecze

kapitan i dodał ściskając panu Bolesławowi rękę: — czuwaj tymczasem nad moją dobrem, zostawiam ci klucze od wszystkiego.

* * *

Ale pan Bolesław w głębi serca rozżalony, byłby się nie dał ubłagać, gdyby się była Tulipcia nie wdała w sprawę i zapłakanemi oczyma nie była pocieszała obrażonego młodzieńca.

Aż w trzy tygodnie potem, wraca kapitan Bourdon z rozjaśnionym czołem i z rękoma pełnemi podarunków dla pana Bolesława i dla panny Tulipci. Nigdy go nie widziano tak uszczęśliwionym i zarazem tak hojnym. Panu Bolesławowi oznajmił, wręczając mu bardzo drogi zegarek z pysznym łańcuchem, że od tej chwili mianuje go swoim plenipotentem i rządcą z pensją roczną 2,000 franków i z odpowiednią ordynaryją i furazem na dwa konie.

To przechodziło wszystkie nadzieje i oczekiwania pana Bolesława, który uszczęśliwiony powrotem kapitana i pewny, że się sprawa z weksem wyświetliła, spyta:

— A więc, kochany kapitanie, wynalazłeś zbrodniarza, który sfalszował twój podpis, i o mało co nas nie pokłócił na wieki ze sobą?

Kapitan natychmiast ochłonął z radosnego wzruszenia, i rzekł z zasępieniem czołem:

— Wynalazłem go!

— I oddałeś go w ręce sprawiedliwości, ażeby go najsurowsza, hańbę na całe życie rzucająca kara spotkała? Kim jest ten zbrodniarz? Jak się nazywa? — spyta dalej Bolesław, nie spuszczać blednącej fizyjononii pana Bourdon z oka.

— Nie oddałem go w ręce sprawiedliwości, i nigdy jego nazwiska tobie nie wyjawię: największej wagi względy do tego mię zmuszają, — odpowiedź kapitan Bourdon.

Twarz Bolesława zalała się purpurą, oko jego zaiskrzyło się gniewem, a drgające usta rzekły:

— Jak to? więc na mnie ma pozostać podejrzenie? Kapitanie, na miłość Boga, odpowiadaj, kogo to uwalniasz z pod pręgierza kosztem mojego spokoju, mojej sławy?

— Żadne na tobie nie ciąży podejrzenie, najmniejsze, — odpowiedź jękając się cokolwiek Bour-

don. Nikt o téj sprawie nie wie, prócz mnie i prócz Tulipci, którą z własnej woli i nie wiem po co przypuściłeś do tajemnicy. Więc proszę cię na miłość Boga, ja ci daję słowo honoru, że znam winowajcę który się dopuścił sfalszowania podpisu, i przysięgam ci na Ewangeliją w kościele że ty winnym nie jesteś. Najlepszy dowód, że cię całém mém obdarzam zaufaniem; cóż do djabła żądasz więcéj?

— Nie, to mi nie wystarcza kapitanie, — odpowie z wyrazem głębokiego smutku i żelaznej determinacyi Bolesław. — Sprawa o tym przeklętym wekslu rozgłosiła się cokolwiek po sąsiedztwie, zapewnie w skutek poszukiwań, przez ciebie samego kapitanie robionych na odszukanie winowajcy. W kraju tak podejrzliwym jak Francya, w podobnych pieniężnych sprawach, nigdy za dużo jawności być nie może, honor powinien tutaj świecić bez najmniejszej skazy kapitanie; twoje zaufanie, twoje słowo honoru, twoja przysięga nie wystarczają mi: muie trzeba nazwiska winowajcy i jego publicznego szańbienia, inaczej nie będę się uważał za zupełnie czystego, i sama panna Tulipina do tego stopnia nigdy nie

uwierzy słowom i przysięgom twoim, żeby ślad podejrzenia nie pozostał w jej sercu przeciw mnie.

— O cóż ci tam idzie, o tę małą Tulipcię, drogi mój i kochany panie Bolesławie?—rzecze kapitan.

— Owa mała Tulipcia jest moją narzeczoną, i ma być moją żoną,—rzecze p. Bolesław; a Tulipcia spuszcza zapłonionelicę na ziemię i rzecze do starca:

— Ach! dziadziu, żeby go znał dziadzia, on tego nie przeżyje, jeśli się wszystko nie wyświectli;—on umrze z rozpaczy, patrz jak już schudł.

Już oddawna nie podobnie wzruszającego nie przytrafiło się kapitanowi Bourdon. Na jego dużej, mięsistej twarzy toczyła się okropna walka. Im więcej mu dokuczał upór młodzieńca, tym głębiej sam uczuwał, że mu się należy świetne zadośćuczynienie. Miłości Bolesława z Tulipcią nigdy nie przeczuwał, ani razu nie przyszło mu na myśl, żeby ona mogła być możliwą, a teraz gdy się dowiedział co się tutaj właśnie święci, i dla czego potrzeba Bolesławowi jak najjaśniejszego uznania swego honoru, przyznać mu-

siał że młodzieniec jest w swoim prawie. Zresztą wiadomość o stosunkach sercowych Bolesława z Tulipcią, przejęła duszę jego najżywszą rokoszą: starzec szczerze kochał swą wnuczkę i oczarowany był Bolesławem; przykuć go na pozostające mu życie do swego losu, to przecież najmiłsze szczęście jakiego sobie śmiał życzyć.

— Ach! dzieci! więc się kochacie, i ślubnym węzłem chcecie uświęcić wasz związek? — rzecze z rozrzewnieniem kapitan; — to mnie przejmuję największą radością: 50,000 franków posagu daję Tulipci za to, że umiała podbić serce tak szlachetnego młodzieńca jak Bolesław.

Tulipcia dziękuje swemu dziadkowi z uniesieniem, Bolesław zaś uściskawszy jego ręce, rzecze:

— Ale im więcej kocham Tulipcię tém więcej nią pogardziłabym, gdyby się zaślubiła z człowiekiem, na którego honor padła skaza.

— Sto tysięcy posagu daję! — krzyknął Bourdon stentorowskim głosem.

— Od jakiego to czasu licytuje się we Francji honor szlachcica polskiego? — odpowie ze wzgardą Bolesław.

— Na Boga! panie Bolesławie, jaki upór,—ręce stary Bourdon,—jak można szczęście swoje odpychać tak swawolnie nogami? Jak można się uragać w ten sposób z cierpliwości starca?

— Kapitanie wiem co robię, i w tym względzie muszę być nieublaganym,—odpowie z rozwagą i z zimną determinacją młodzieniec.—Kapitanie! jeszcze raz ci powtarzam, jednego dnia nie spędzę z tobą pod jedną strzechą, jeśli nie wyjawisz nazwiska zbrodniarza i o jego publiczne ukaranie domagać się nie będziesz. Inaczej zawezwę pomocy trybunałów; i deferować ci muszę przysięgę. Od tego nie odstąpię przysięgam na honor i na Boga.

* * *

Stary Bourdon załamywał ręce i sam do siebie rzekł:

— Ja miałbym kłaść i stawiać pod pręgierz swoje własne nazwisko? Ja miałbym skazywać na haniebną karę syna mego brata, wychowanka mego i mojej ukochanej żony? Ja miałbym niszczyć honor i los nieszczęsnego ojca trzech małych mężkich Bourdonów, na których spoglą-

dam jako na odrodzicieli rodu i nazwiska, od wieków w kraju szanowanych? Prawda że mój pasierb wielki hultaj; prawda że własny swój los zdeptał nogami, majątek swój i swój żony stracił, mnie się odplacił dość niewdzięcznie za tysiączne dowody łaski i wspaniałości; prawda, że nawet w wojsku zawiódł nadzieję tych, którzy wiedzą jak się dotychczas bili i sprawowali Bourdonowie; wszystko to prawda, ależ i to prawda że nie hańbiącego dotychczas jeszcze nigdy nie popełnił, że mi zawsze dotychczas okazywał jakieś poszanowanie; i ja miałbym pierwszy wystąpić publicznie z potępieniem przeciw własnej krwi mojej? i dla kogóż to mam robić? dla cudzoziemca który tu przyszedł ubogi jak szczur kościelny, a teraz dyktuje mi prawa w własnym moim zamku. Nie mogę zaprzeczyć, że pan Bolesław a mój pasierb Robert, to wcale co innego; że jeden od drugiego różni się jak anioł od czarta; nie mogę zaprzeczyć że moja Tulipcia ślicznie by los zrobiła, gdyby poszła za młodzieńca tak szlachetnie myślącego, i przytém *urodzonego*; — ależ to zawsze tylko cudzoziemiec, i nie

poświęcę krwi swojej dla jego zuchwałych wymagań.

Tak myślał pan Bourdon, a skończywszy swe dumania, krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Nie! nie! nic z tego nie będzie; nie poświęcę, to jest nie wyjawię tego nazwiska, żebyśmy wszyscy razem mieli paść ofiarą tego milczenia; nie poświęcę tego nieznanego zbrodniarza dla ciebie o dumny i wymagający młodzieńcze!

— Więc sobie weź swoje podarunki kapitanie, więc opuścić muszę na zawsze twą dotychczas tak gościnną strzechę. Odpowiesz mi przed trybunałem, i ... na mecie, — rzecze ze łzą w oku, ale mężnie i dumnie pan Bolesław, kładąc na stół przywieziony muzegarek i różne inne podarunki.

— Weź sobie, weź dziadku i moje podarunki, i ja także nie mogłabym tutaj wyżyć z upartym człowiekiem, który poświęca honor najszlachetniejszego młodzieńca w świecie i szczęście swój wnuczki, jakiemuś nierozsądnemu widzimi się, — rzecze szlochając w niebogłosey Tulipina i rzucając pod nogi starego Bourdona, jedwabie, koronki, parasolki, broszę i wstążki.

— A to mi djabeł, nie dziewczyna!—krzyknie rozzłoszczony Bourdon i już podnosił rękę, w której trzymał spicrutę, ale groźne spojrzenie Bolesława sparaliżowało mu rękę.

Znów się zamyślił Bourdon i po kwadransie zaciętój z sobą samym stoczonój walki, rzekł:— Nie, tak nie będzie, w taki się sposób nie opuszcza dachu życzliwego nam starca: Bóg mnie ciężko nawiedził tym piekielnym wekslem, i nigdy nie przestanę żałować, że go panu Bolesławowi pokazał. Jak tu teraz skończyć z honorem, i nie zadając zanadto ciężkiego ciosu tym, którzy noszą nazwisko winowajcy? Ach! u nas we Francji podobna kradzież gorsza od morderstwa i mnóstwa innych najhaniebniejszych zbrodni!.... jak tu skończyć z honorem? Ja nie wiem, ale Bóg mnie raczy oświecić. Pójdę do Tuluzy, zamknę się na cały tydzień w pobliskim klasztorze Trapistów, odbędę jak najściślejszą rekolekcyją i Bóg mnie raczy oświecić, nie wątpię o tém. Ja Boga zawsze kochałem szczerze, chociaż nie zawsze regularnie. Więc pójdę i włóczyć się będę jak Ahaswerus po obcych kątach, aż stanie rada i pomoc przyjdzie; wy tymczasem mo-

je dzieci zostańcie i gospodarujcie dobrze i cnotliwie.

* * *

Dopiero w dwa tygodnie potem, wrócił stary Bourdon do swego zamku Asignan.

Ale jakaż w nim zmiana! ledwo cień pozostał z tak tłustego, mocnego mężczyzny, a oczy jego zapadłe i zgasłe; cera jakoś złowróźnie sina, przytém doświadcza kurczów! a tu cholera niedaleko, już w Agde: Boże drogi czy to nie cholera?

Bolesław wszystkich innych względów zapomniał, i dość obeznany z przyrodą choroby, Polskę często nawiedzającej, chciał ratować kapitana;—ale pan Bourdon przekonany że cholera jest zaraźliwą chorobą, i widząc w jakim znajduje się stanie, nie pozwolił do siebie przystąpić i całkiem zaufał jakiemuś z swych dawnych podoficerów, staremu wiarusowi z cesarstwa, z sroga miną, którego spotkał w drodze z Carcassony; także zaufał staremu lekarzowi z Narbonne, którego znał ze czterdzieści lat.

Później przywołano do pomocy jakąś starą kobietę, która gotowała tyzany i kataplazmy.

I w téjże saméj nocy, pomimo uajlepszych starań i z niewypowiedzianą dla Tulipci i Boleśława boleścią, skonał stary Bourdon nie przyszedłszy od powrotu do domu aż do zgonu, ani na chwilę do zupełnéj przytomności umysłu.

Umarł nie zostawiwszy testamentu, a zatem cały majątek spada na najbliższego krewnego pana Roberta Bourdon.

* * *

Natychmiast uwiadomiono o tym zgonie pana Roberta Bourdon, który był pasierbem, synowcem i przybranym synem starego kapitana, a mieszkał około Marsylii.

Pan Robert odpisuje, że dopiero za dwa dni przybyć może na objęcie swéj posiadłości, i rozkazuje pochować tymczasem jak najspieszniéj, to jest w 36 godzin i jak najciszej swego stryjaska, także kazał dobrze dom wykadzać i przysposobić doskonały obiad na osób dwanaście, albowiem nowy pan przyedzie do zamku Asignan ze swemi przyjaciółmi i chce wszystko znaleźć w jak największej świetności.

Ale tych rozkazów nie można było wykonać w całej rozciągłości, bo stary lekarz, który był

obecnym śmierci kapitana Bourdon nie pozwolił pochować trupa, aż się na nim okażą najwyraźniejsze ślady zgnilizny. Już bowiem raz w swém życiu stary Bourdon był w letargu, i o mało co nie został żywcem pochowany.

Więc ubrano nieboszczyka w stary mundur gwardyi cesarskiej, włożono go w trumnę którą zwyczajem tamtejszym pokryto płaskim szklanym wiekiem, i wystawiono go w sali rycerskiej na czarnym katafalku, na którym się świeciło dwanaście świec.

I dopiero gdy wszystko było w porządku, stary sierżant otworzył drzwi od sali i wpuszczał do niej domowników i służbę.

A najprzód przyszła panna Tulipina i pan Bolesław pomodlić się za duszę nieboszczyka, który leżał zimny, siny i jeszcze groźnie wyglądający w swoim mundurze z białymi rabatami, z długą żółtą, łosiową kamizelką i w butach palonych.

Rzewnie płakała Tulipina, i wielka sala odbijała odgłos jej łkań i szlochów, oczy zaś Bolesława zrosiły się rzewnymi łzami.

— Ach dobry Bolesławie! po tych Izach widzę że mu wybaczasz, że mu po śmierci nie pamiętasz zadanych ci uraz,—rzekła panna Tulipina; a pan Bolesław odpowiedział:

— Z całego serca mu przebaczam, i już nic o nim nie pamiętam, prócz dobrych słów, uczuć uczynków i chęci, których byłem przedmiotem lub świadkiem. O jakże mi go żal okropnie! ja myślałem, że ten poczciwy człowiek, tak dzielnej budowy i czerstwości, jeszcze z kilkanaście lat z nami na tej ziemi wystarczy, a tu od razu o Boże drogi! znika nam i nawet pożegnać się nie mógł z nami. Niech mu ziemia będzie lekka, a Bóg łaskawy!

I coś boleśnie zajękło w piersiach uczciwego młodzieńca.

— A nie żałujesz teraz panie Bolesławie, żeś nie przyjął ofiarowanego ci posagu?—zapyta Tulipcia,—sto tysięcy franków to nie fraszki, mój kochany; a teraz umiera bez testamentu, zostawia mnie i ciebie bez grosza, ach to jednak nie do brze że żadnego nie zrobił testamentu, i cały mozolnie zebrany majątek dał na łup takiemu

rozzutnikowi i rozpustnikowi jakim ma być ten Robert.

— Pewno, że to cokolwiek markotno:—odpowie Bolesław,—najzdrowszy człowiek powinien przewidywać możliwość nagłej śmierci, i przygotować się na nią; ja sądziłem że stary Bourdon tak przezorny i dobry zabezpieczył cię od niedoli, którejbyś się teraz stała ofiarą, gdybym ja nad losem twoim nie czuwał. Ale nie obawiaj się Tulipciu, chleba ci nie zabraknie ze mną, i szczerze przebaczyć staremu dziadkowi, że nagła śmierć nie pozwoliła mu nic dla ciebie zrobić!

Młodzi ludzie uklękli, i w gorącej modlitwie wezwali Boga aby raczył przebaczyć Bourdonowi.

* * *

Na trzeci dzień po śmierci, gdy jeszcze nieboszczyk leżał w trumnie, a stary lekarz i stary sierżant nad nim czuwali, zajeżdżają na raz trzy powozy na dziedziniec zamkowy, i z nich wysiada śmiejąc się i hałasując całe grono wesołych mężczyzn, na ich czele najweselszy, chociaż w żałobę przybrany spadkobierca.

Przypadkowo Tulipcia znajdowała się w przed-sionku, na który wyskoczył lekką nogą Robert Bourdon.

— Ach! to zapewnie ty, moja droga Tulipciu, o której piękności i cnocie tyle mi mówiono; — krzyknie wesoło pau Robert, — ach! nie zawie-dzono mnie, przynajmniej co do piękności. Wiész, drogi aniele, że my pozostajem z sobą w rodzaju powinowactwa, tak à la mode de Bre-tagne; ja cię tutaj zaraz na wstępie do mego zamku adoptuję za kuzynkę, i to pokrewieństwo stwierdzam jak najserdeczniejszym uściśnięciem i całym tuzinem całusów. Tylko się nie hroń, moje życie.

Biédna Tulipina widząc pana Roberta półpija-nego i tak zuchwałego, przestraszyła się i przed napastnikiem uciekła do sali rycerskiej, w której był wystawiony nieboszczyk.

A bezbożny Robert za nią wpada do sali, i z niemalém przerażeniem spostrzega swego stryjaszka w trumnie.

— Co to znaczy? czemu moje wyraźne roz-kazy nie zostały wykonane? czemu ten trup nie jest pochowanym i zarazę roznosi po moim pa-

łacu? — krzyknie pijany wisus, i obracając się na miejscu, chwytą struchlałą Tulipcię i całuje ją w szyję.

— Cha! cha! cha! cha! myślałaś że się złękę swego stryjaszka w trumnie?— powie parskając dzikim śmiechem Robert, — cha! cha! cha! dopóki był żywym, tom go się bał jak djabła, ale teraz, kiedy stary lis opuścił ziemię, cha! cha! cha!

Jeszcze się passował, tuż obok trumny swego stryja, rozwiązły Robert z biędną Tulipcią, gdy nagle na jęj krzyki wpada do sali Bolesław, widzi co się dzieje, łapie wisusa za szyję z taką siłą, że mu natychmiast ramiona jak mdle lotki opadły.

— Kto jest ten jegomość, który mnie, panu tych miejsc taką wyrządza zniewagę? — krzyknie z szaloną zapalczywością Robert Bourdon.

— Tym jegomością jest Bolesław, zaręczony tęg panny, rządca tych dóbr, — odpowie dumnie i wzgardliwie nasz ziomek.

— Byleś tutaj rządca, mój panie, ale nim nie jesteś od tęg chwili. Daję ci odprawę, rozu-

miész? dalej, wynoś się stąd natychmiast, jeśli łaska, mój dobrodzieju!

— Tego się spodziewałem, że mnie pan odprawisz, i u takiego człowieka jak pan, służyć za nic w świecie nie chciałbym, — odpowie z niewypowiedzianą dumą Bolesław. — Ale pan pozwolisz, że w jego domu zostanę, dopóki zwłoki nieboszczyka kapitana Bourdon, mego przyjaciela w nim pozostają, i dopóki pan nie odbierzesz inwentarza i nie pokwitujesz mnie urzędownie. Chodź ze mną, panno Tulipo.

— Pozostań tu Tulipciu; ty jesteś moją służą i zdać mi musisz rachunki! — krzyknie rozkazującym tonem Robert Bourdon.

— Niech się pan niepotrzebnie nie gniewa i nie jątrzy, panna Tulipina ze mną pójdzie, i biada temu, kto jój w drogę wejdzie, — powie z szlachetną spokojnością Bolesław, i podawszy płaczącej Tulipci ramię, wyszedł z sali z miną tryumfatora, tak szlachetną, że goście pana Roberta Bourdon rozstąpili się jak najgrzeczniej, żeby go przepuścić.

Szlachetność manier wywiera nadzwyczajny urok na Francuzów.

* * *

— Pochować mi natychmiast tego trupa! wrzaśnie okropnym głosem Robert Bourdon, wykadzie mi salę chlorkiem, przewietrzyć, a potem nakrywać w niej do stołu, bo jak słyszę, innej równie obszernej tu nie ma. Sam nie będę na pogrzebie, bom okropnie zmęczony. Tymczasem chodźmy do ogrodu na absynt.

I wkrótce téż, już wieczorem, zakryto trumnę nieboszczyka Bourdon drugiém drewnianém wiekiem, i wyniesiono ją bez żadnej okazałości na pobliski cmentarz.

Za zwłokami szli: panna Tulipa, Bolesław, stary lekarz, przyjaciel domu, sierżant dawny podkommendny kapitana, reszta służby i kilku sąsiadów.

Nie strzelano staremu Bourdonowi do grobu, bo garnizonu nie było nigdzie w pobliskich miastach; wojsko pociągnęło na wojnę, a gwardya narodowa została zniesioną, i dopiero miała się organizować później.

Nawet nie pokropiono grobu starego Bourdona święconą wodą; bo stary Bourdon był pro-

testantem, jak z milion innych Francuzów południa; pastorowie zaś rzadko rozsiani po tej części kraju.

Więc spuszczone starego Bourdona do muranego grobu, wśród szlochań wszystkich jego przyjaciół i sług, potem zmówiono pacierz, i orszak jak przybył cicho na samotne pole spokoju, tak też wrócił do zamku, spełniwszy ostatnią powinność względem zeszłego.

* * *

Ale w zamku niesłychany rejewach. Nowego pana nowo przywiezione sługi zastawili suty obiad, wydobyli srebra i porcelany z kredensów, odarli salę rycerską z całunów i ubrali ją w kwiaty, piwnicę otworzyli i sto butelek najlepszego wina postawili na stół, kandelabrami świetniejący.

Pękał szampan i pękała blankietka z Limoux jeszcze ognistsza od szampana.

Wrzawa, krzyki, śmiechy, „hulaj dusza, hulaj“ — woła nowy pan zagrany winem, — hulaj panie baronie d'Asignan, — krzyczeli goście. A pan Bolesław z Tulipcją i z doktorem zasiadł w je-

dnym z pokojów dolnych do skromnej kolacyjki i pomimo woli i chęci musieli być świadkami haniebnego ha rmidru, toczącego się na górze.

Mury drżały od odgłosu żartów i śmiechu biesiadników, a wstydlive echa starego zamku zatykały sobie uszy.

— Wiécie! — krzyknie jeden z biesiadników, — właśnie przed rokiem dzień po dniu staliśmy pod Mostaganem, i umieraliśmy z głodu i z pragnienia, a pomiędzy nami najsmutniejszym był, prawie z głodu umierający i najokropniej w karty zgrany podporucznik Robert Bourdon.

— Ah! jak się czasy zmieniły! dziś górą nad wszystkimi nami Robert Bourdon, baron d'Asignan.

— Dajcież mi pokój z tym tytułem barona d'Asignan; to był dosyć dobrze pasujący tytuł dla mego stryja, ale to nie dla mnie; muszę prosić Cesarza o nadanie mojej posiadłości innego nazwiska, — krzyknie Robert Bourdon.

— Albo co? czy to złe nazwisko? baron Asignan, djable! to przecież brzmi wyśmienicie, nadzwyczaj historycznie, — powie jeden z biesiadników.

— Ale to osłem pachnie, odrzeknie pan Robert Bourdon. *Asignan*, to pochodzi od *asinus*, a *asinus*, znaczy po łacinie osieł. Ale dajmy pokój nieboszczykowi, nie wzruszajmy jego pobocznych popiołów; koniec końcem, jemu dobrze, a mnie znacznie lepiej;... niech żyje stary, marudziarski, skąpy stryjasek Bourdon! niech mu będzie ziemia tak lekką, jak nam ten szampan.

— Niech żyje stary asinus! niech żyje nieboszczyk Bourdon! niech żyje krzykała, niech żyje zatwardziały heretyk! — ozwało się dwanaście głosów z okropnym okrzykiem, i każdy z biesiadników przytknął kwartowy puhar do ust.

W tém coś przeraźliwie zagrzmiało nad głowami biesiadników, coś zaświszczało w sali i wszystkie świeće od razu zagasiło; mur sali przerywa się, przezeń ognista luna zaświeci i głos się odzywa przejmujący, grobem pachnący:

— Z podziękowaniem, moi panowie!

I wszyscy ujrzeni pomiędzy płomieniami i dymem kapitana Bourdon takim, jakim był w trumnie: sinym na twarzy, w mundurze granato-

wym z białemi rabatami, w żółtej kamizelce, w losiowych spodniach i palonych butach.

Wszyscy goście struchleli, wyciągnęli ramiona i wylupili oczy; pan Robert Bourdon zaś wtył się zatoczył i pod stół upadł.

Duch nieboszczyka kapitana pozostał w wyłomie, jaśniejący płomieniem i grobem cuchnący, groźny i straszny, i jeszcze raz rzekł:

-- A więc wam dziękuję za toast, i wasze wznoszę zdrowie. Lucyper podaj wina!

I na ten odgłos sam djabeł z kopytami i ognem wystąpił do wyłomu i z ogromnej konwiny nalał kapitanowi do długiego jak bawoli róg puharu jakiegoś płynu, wyglądającego jak roztopione w ogniu żelazo, a śmierdzącego jak siarka, assafetyda i dziegieć.

-- Panowie! wasze zdrowie! niech długo żyją w piekle ci, którzy się z śmierci swych bliźnich cieszą; niech wiecznie żyją w piekle ci, którzy się z śmierci swych dobroczyńców cieszą. Do ciebie Robercie Bourdon, przeklęty wyrodku, fałszerzu! któryś niepamiętny na sławę swego nazwiska, fałszował mój podpis, podty tchórz,

przyznaj się do popełnienia téj zbrodni, lub cię wezmę ze sobą do piekła.

Robert Bourdon jęczał i szlochał jak kobiéta, jak dziecko, i krzyczał:

— Przyznaję Ci się, mój stryju, przyznaję się do fałszowania, całe życie byłem zbrodniarzem niegodnym łaski Boga, ale pragnę umrzeć jak chrześcijanin. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, wszelki duch Pana Boga chwali.

Zagrzmiało, zawarł się wyłom w ścianie, zgasły piekielne ognie, zapaliły się jedna za drugą świece, a gdy się wszystko uciszyło, ujrzano kapitana Bourdon w stroju wojskowym, lecz z czerstwą i pogodną twarzą, siedzącego na pierwszym miejscu przy stole pod którym jęczał i szlochał pan Robert.

— Siadajcie, moi panowie, — rzecze z grzecznością do swych gości zmartwychwstały kapitan; — siadajcie i słuchajcie: chciałem się przekonać, czy ten człowiek dla którego od urodzenia byłem dobroczyńcą, jest istotnie tak nikczemnym, jak świat o nim mówił; chciałem się przekonać, czy jest moim obowiązkiem wydzieńczyć go i mozolnie zebrany majątek zapisać

dalszym, ale cnotliwszym krewnym. Za pomocą mego doktora, za pomocą starego sierżanta szczwanego we wszystkich figlach lisa, i za pomocą owój starój baby, co nad moim trupem czuwała, nareszcie za pomocą trumny ze szklaném wiekiem i dzięki masce doskonale twarz moją naśladowującej, udało mi się ujść za nieboszczyka i być w przyległym pokoiku świadkiem żalów moich prawdziwych przyjaciół i bezczelnej ohoty mego synowca. Teraz z spokojném sumieniem mogę go wyzuc z łaski mojej, i zmusić go do szukania w Ameryce lub dalej jeszcze schronienia przed ścigającą go zasłużoną karą; teraz mogę spokojném sumieniem przeznaczyć na ogólną legatorkę majątku mego, obecną tu poczciwą wnuczkę moję, pannę Tulipinę Colombier, narzeczoną i wkrótce żonę obecnego tu szczerego przyjaciela mego, pana Bolesława. Panie Robercie! tutaj w tym pugilaresie jest dziesięć tysięcy franków; droga do Cette nie daleka, w Cette zastaniesz jaki okręt idący do Ameryki. O twój żonie i o twych dzieciach pamiętać będę. Dalej, wynoś się panie baronie Asignan z tego zamku; nie zapominaj, że nasza żandarmerya jest czujną.

Nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć pan Robert, i poprowadzony przez starego sierżanta, który jeszcze nie miał czasu złożyć z siebie ubrania czarta, wyszedł cichaczem z zamku, a po nim w pół godziny, rozjechali się goście z zachowaniem wszelkiej przyzwoitości i serdecznie się pożegnawszy ze zmarłychwstałym, niezmiernie ze swego figla zadowolonym kapitanem.

W trzy tygodnie potem, Monsieur Boleslas ożenił się z Mademoiselle de Colombier, i podobno wybierają się z majątkiem i z dwojgiem dzieci do nas do Warszawy.

A zatem, charakter wszędzie tryumfuje, gdzie tylko ludzie mają zdrowe pojęcie o honorze i prawie własności.

ROZDZIAŁ V.

Będiesz Królową.

Wwędrówkach moich po Francyi, zaszedłem umyślnie do Grenoble, a stamtąd przypadkowo do wioski Bachet, oddalonej tylko o milkę.

Jestem na cmentarzu téj wioski, i na kamieniu obfitym mchem zarosłym, czytam następujący napis:

Ci git Claudine Mignot petite-fille d'une reine de Pologne 1702 † 1764.

Tu spoczywa Klaudina Mignot, wnuczka królowej Polski, urodzona w roku 1702, umarła w r. 1764.

— Tutaj spoczywa wnuczka królowej Polskiej? przyjacielu to musi być omyłka, — rzeknę do sędziwego grabarza oprowadzającego mnie po swoim państwie.

— Nie, to nie jest omyłka panie podróżniku, do tego grobu schodzą się ciekawi z bardzo dalekich stron, i już kilka razy w ciągu życia mojego musieliśmy odświeżać napis na tym kamieniu, by nie zarósł mchami.

— Jakięj królowej polskiej wnuczka? — pytam sam siebie.

— Tego ja nie wiem, nie bardzo biegły jestem w historii, — rzecze grabarz.

— To chyba jaka wnuczka Maryi Kazimiry, żony króla Sobieskiego, to chyba jaka córka jej synów lub córki; niezawodnie tak będzie, to jakieś dziecko miłości jej syna Jakóba.

— Ej nie zdaje się, żeby to był owoc nieprawnego związku, — powie grabarz, — u nas tu w całym delfinacie strasznie nie lubią takich owoców, i nie kładli by mu na grobie napisu za nic w świecie.

— Gdzie tu mieszka ksiądz proboszcz? on zapewnie wie kto jest ta córka królewskiego rodu.

— Nasz ksiądz proboszcz jest w podróży, ale w plebanii znajdziesz pan jego dziadka, starego Dyonizego Taucher, który to przez lat przeszło sześćdziesiąt był bakalarzem szkółki, i jeszcze znał ową Klaudinę Mignot, wnuczkę waszjej królowej.

* * *

— Tak panie, opowiem panu dzieje jednej z córek naszej wioski, która została królową Polski. Dzieje te podał do publicznej wiadomości jeden z członków akademii pan M. de Jouy w swém dziele *L'hermite en Province*, jakoś jeszcze w początku tego stulecia, a lenie zadowolniło mnie jego opowiadanie, bo nie jest dosyć szczegółowém, i warto się przysłuchać mojej gawędzie, chociażby tylko dla tego, że jedynie jestem człowiekiem, który na swe oczy widział ostatniego potomka owój królowej; chociażby tylko dla tego, że ją po pierwszy raz opowiadam polakowi. Natęzę pamięć swoję, przeniosę się

w odległe czasy, i może wyrwę z niepamięci kartę historyczną, tak bujnym mchem porastającą.

Otóż w środku XVII stulecia żyła tu w wiosce Bachet młoda wieśniaczka, imieniem Klaudyna nazwiskiem Mignot, a przezwana Lauda narzeczem delfinatu. Była piękną, świeżą, przytém wyglądała skromnie; a jednakże nosiła się nadzwyczaj wykwintnie, tak że wszystkich oczy na siebie zwracała. Jakiś Janin, sekretarz pana d'Amblerieux, skarbnika prowincyi delfinatu zoczył Laudę, pokochał się w nięj i starał się podobać. Ale ów młody człowiek przyzwyczajony do łatwych zdobyczy szukał w Klaudynie kochanki a nie żony, ona zaś lubo młoda i niedoświadczona zaraz postrzegła co się święci, i jęj miłość własna przychodząc w pomoc enocie, broniła ją od nagabywań i uwodzielskich figlów młodego dworaka.

Wieśniaczka wiedząc, że jest bardzo piękną i nie zapominając rad swojej matki, opierała się skutecznie natarczywości sekretarza, i nareszcie widząc, że jego starania nie doprowadzają do ołtarza, unikała go jak niebezpiecznego kusiciela.

Ale ją ścigał zuchwalec gdzie tylko mógł, i raz ją zdybał śpiącą w gaiku, gdzie pasła owieczki. Nawet się poważył pocałować śpiącą dziewczycę w same usta.

Zrywa się Lauda równemi nogami i kusicielowi wymierza silny policzek.

— Wybacz o srogi mój aniele,—rzecze Janin nie tracąc przytomności, bo już widać nieraz w życiu za podobne zuchwalstwo tąż samą monetą został zapłaconym. — Wybacz aniele, mnie nie wiń, lecz tylko sposobność tak pięknie mi się nastęrczająca. Mógłżem nie korzystać z tak miłej sposobności? Przypomnij sobie, że miłość bez całusów jest ogrodem bez kwiatów, łąką bez trawy, polem bez kłosów, winnicą bez winogrodu, gajem bez liścia, płaszczyzną bez rzeki; czemuż tak się gniewasz za ten jeden porwany ci całus?

— A ty Janinie czemu to kradniesz, co może być prawnie twojem? odrzecz na to Lauda.— Czemuż nie udajesz się do rodziców moich! czemu nie przywołujesz notaryjusza i nie poprosisz księdza?

Na to zapytanie sekretarz skarbnika nie wiedział co odpowiedzieć, i jękając się odpowiedział, że jeszcze nie jest panem swojej woli, że chyba dopiero za rok mógłby się ożenić, i nawet miał dodać, że prawdziwa miłość nie zawiązuje się przysięgami lecz uczuciem.

Na to Lauda z rumieńcem gniewu na swój pięknej twarzy odwróciła się od uwodziciela, i popędziła swe owieczki do domu.

— Otóż na złość musisz być moim mężem — rzecze potem do siebie pasterka, — otóż musisz się przekonać, że prawdziwa miłość tylko w prawdziwym związku znaleźć może szczęście. Czeka! zacznę kokietować z innymi, wpędzę cię w zazdrość i u nóg swoich położę.

Miała wówczas dopiero lat szesnaście, ale w romansach dojrzewa rozum kobiecy w tej samej mierze, w jakiej głupieje rozum męczyzny.

Więc od tej chwili już nie było spojrzenia dla Janina, ani w kościele, ani w niedziele i święta, w zabawach wiejskich pod gołym niebem, w gajku na murawie; a wielka ilość innych chłopców przynęcona figlarnością Laudy, otaczała ją i zносиła bukiety, wstążki i inne małe podarunki.

Udała się ta strategija młodej dziewczynie. Serce Janina zawrzało zazdrością i zapędziło go do chaty rodziców Laudy.

Stary Piotr Mignot był sobie starym, dość dobrze się mającym, trzeźwym, pracowitym i rozsądnym wieśniakiem, a jego o dwadzieścia lat młodsza żona Tievena próżną, ambitną, niegdyś na dworze służącą córką gajowego.

Oświadcza się Janin, i stary Piotr wysłuchawszy go, wybadawszy, podaje mu rękę na znak że go przyjmuje za zięcia. Tievena spoziera na sekretarza z pogardą i milczy ruszając ramionami w chwili, gdy Piotr przyjmował oświadczenia.

Spostrzegł to stary wieśniak i wyprowadzwszy swą połowicę do ogrodu, w ten sposób zaczął:

— Ten chłopiec cokolwiek został popsutym przez obcowanie z wielkimi panami, to prawda, ale z tém wszystkiém jest to dobre, swego wiejskiego pochodzenia niewstydzące się dziecko. Zresztą posiada cztery pary wołów i do sześćdziesięciu owiec: jego zaś winnica i pole więcej wydają wina i zboża, niż potrzeba na

wyżywienie siebie, żony i dzieci, jak mu je Pan Bóg da. A tak przecież na starość będziemy mieli pomoc. Szkoda tylko, że ten Janin tak jakoś już na pana wygląda i w galonki obszywa sobie suknie i kapelusz.

— Na pana wygląda? — odpowie z szyderstwem Tievena.—Taki sekretarczyk podskarbiego? nasza Klaudyna warta być żoną króla, tak jest króla a nie sekretarza. Czyś zapomniał co jej przepowiedziała cyganka, zaraz w kilka chwil po urodzeniu? Otóż, wykrzyknęła, będziesz królową! ale z tak silną wiarą w nieomyślność swój przepowiedni, żeś ty sam stary grzybie zdrzał i rzekł...

— No, cóż rzekłem Tieveno?

— Powiedziałeś jak zwyczajnie głupstwo, powiedziałeś! — aby Bóg tego nie dopuścił, — i chciałeś wyprawić cygankę z talarem. Ona zaś rzekła: „tysiąc takich da mi ta dziewczyna w godzinę po ślubie z królem,” i poszła sobie nic nie chcąc przyjąć. Więc taka niezwykła bezinteresowność u cyganki jest najlepszym dowodem nieomyślności przepowiedni.

— Jeśli się ma zjść to się zjści pomimo naszej woli, ale Boże tego nie dopuszczaj, — rzecze skrobiąc się w głowę — a może Janin zostanie królem, mówią że nie tak trudno zostać królem w Ivetot.

— Król tego państwa nie ma tysiąca talarów rocznego dochodu, skądżeby królowa wzięła tak wielką kwotę na wynagrodzenie cyganki?

— Wszystko to niedorzeczne, Lauda będzie żoną Janina, lepszéj tu partyi nie ma dla niéj, a ja nie poświęcę szczęścia jedynego dziecka dla jakiegóś tam cygańskieję przepowiedni, — odpowie Piotr, i pozwala Janinowi uważać się za narzeczonego Laudy.

Sekretarz podskarbiego uszczęśliwiony, wybiera się na zakupienie podarunków ślubnych dla swéj narzeczoneję. Lauda przyjmuje obojętnie jego grzeczności, i podbuntowana przez matkę już się niechęci owém małżeństwem, które sama pragnęła zawrzeć.

Wraca do zamku swojego do Majlan pan podskarbi delfinatu baron d'Amblerieux, i sekretarz jego, dumny z swéj pięknej narzeczoneję, przed-

stawia mu ją, i prosi aby raczył podpisać kontrakt ślubny.

Wielki to pan i stary kawaler, który zwałliwszy zdrowie ciała i duszy w intrygach dworskich rozmaitej przyrody, i nie mogąc już iść w zawody z młodszemi, opuścił wielki świat w chwili gdy się widział przezeń opuszczonym, i cofnął się do swych posiadłości, aby przeżyć resztę dni w spokojności.

— Lecz gdy zoczył Laudę, olśniony jej nadzwyczajną pięknnością, uczuł w sobie przebrzmiałych uczuć płomień, i jak odmłodniony, przyjął nowożeńców z nader ostentacyjną uprzejmością.

Klaudyna i Tievena wróciły do swój chaty z sercem przepelnioném zachwyceniem; pan podskarbi zaś wzniecony widokiem tak młodych i świeżych wdzięków, przywołuje do siebie sekretarza i rzecze mu:

— Zanadto jest piękną narzeczona twoja, aby się mogła zadowolnić podarunkami, na jakie zdobyć się zdoła Grenoble lub inne poblizsze miasta. W nagrodę za zasługi twoje, winienem ci się pokazać wdzięcznym, więc na siebie biorę odpowiedzialność za podarunki ślubne. Przy

tém mam interesa w Lijonie, wymagające twój obecności w tém mieście. Oto pieniądze na zakupienie podarunków, oto moje instrukcyje piśmienne; jutro jedziesz do Lyonu, mnie zostaw resztę jako to: wystaranie się o zapowiedzi, interecyzy, i t. d. wracaj za trzy tygodnie prosto na ślub.

Janin zachwycony idzie się żegnać z narzeczoną, pokazuje pieniądze i instrukcyje, obiecuje jak najświetniejszą przyszłość, ale w chwili pożegnania łez nie widzi w oczach pięknej Laudy, z ciężkiém sercem odjeżdża.

Jeszcze tego samego dnia wioska Bachet ujrziała czego nigdy nie widziała, ujrziała Barona d'Amblerieux, wielkiego dygnitarza prowincyi i szambelana dworu, zstępującego z swój wspaniałej karety do chaty jednego z poddanych, do chaty Piotra Mignot.

Laudzie zadrżało serce, nie z trwogi lecz z radości; Piotr zas postawił uszy do góry i obawia się zasadzki.

Baron usiadł na ławce, którą na prędcie pokryto obrusem czy téż serwetą, i obejrzawszy

się, pokloniwszy grzecznie wszystkim razem i każdemu z osobna, rzekł bez ogródki:

— Kochani i wielce wierni, sławetni poddani i ludzie! gdybym już dzierzył berło lub nosił królewską koronę, oddałbym te dobra téj, która jest najpiękniejszą we Francyi; piękność bowiem do wszystkich holdów największe ma prawo, i to od dawna dawien, i żadna heraldyka, jakkolwiek wymagająca, zaprzeczyć temu żadnym dotychczas jeszcze nie ośmieliła się sposobem.

Piękność, jak mówię, niezaprzeczone ma prawo do wszystkich serc, do wszelkiej woli, do wszelkich bogactw na téj ziemi—to pewna. Nie jestem królem ani mocarzem, lecz w obrębie działań moich jestem znakomitością jedną z pierwszych, jedną z najpotężniejszych wpływami i majątkiem; jednakże nie waham się poświęcić to wszystko osobie, którą sam Bóg i natura wywyższyła o tyle nad pospolitość urodą jej i przymiotami, że wynieść ją nad wszystkie inne, przynajmniej w téj prowincyi, znaczeniem, uważam nie tylko za najświętszą powinność, lecz nawet za największą rokosz jaka ma być udzielona człowiekowi pojmującemu swe ważne sta-

nowisko jako człowiek, nadewszystko jako magnat pełniący obowiązki opatrności kraju swojego. Więc nietylko z tego względu ale i z powodu wielu innych dotyczących się mego osobistego szczęścia, ja baron d'Amblerieux, szambelan Jego Królewskiej Mości najwięcej chrześcijańskiej, podskarbi i senator prowincyi delphinatu, wielka wstęga orderu Świętego Ducha, raczę ofiarować dostojną rękę swoją wiernej i sławetnej poddance mojej dziewicy Klaudynie Mignot, i przypuszczam ją do małżeństwa ślubnego na prawą rękę, w obec władz duchownych i cywilnych odbyć się mającego w jak najkrótszym czasie, za dyspensą od zapowiedzin, z wyposażeniem wdowiem w gruntach, lasach, łąkach i mieszkaniu, wyrównywajacém w dochodach rocznych, (w przecięciu od lat dwunastu obrachowaném): kwocie potężnej dwudziestu tysięcy franków francuzkich!

Spojrzał na wszystkich około siebie, i zapragnął wyrazem chudej a wymownej twarzy swojej przychylenia się. Istotnie, spodziewał się wyroku przychylnego, lubo zresztą wiedział doskonale, że wieśniak francuzki żyjący uczciwie

z pracy, nie poddawający się żadnemu nałogowi, nie jest chożym do opuszczenia stanu swojego, w którym się czuje swobodnym i szczęśliwym, dla stanu wyższego, którego nie pojmuje, a zatem też nie pragnie słodczy.

Ale wiedział co wróżka przepowiedziała Lauddie, i na uroku téj przypowiedni, na łatwowierności Tieveny, opierał nadzieje swoje.

Więc pan baron spojrzal około siebie, aby się przekonać, czy słowa jego należne wywarły wrażenie; a widząc kobiety w nader słodkiem usposobieniu, Piotra zaś osowiałego, ofiarował pierwszym po dwa cukierki ze swój bonbonierki, drugiemu zaś niucha tabaki ze swój własnej złotój, brylantami wysadzonej tabakierki.

Muszę to wyznać z niemalą boleścią serca, że kobiety schowały baronowskie cukierki na historyczną pamiątkę do kieszeni, i co gorsza, że stary Piotr, zamiast wciągnąć baronowskiego niucha do nosa, włożył go sobie z zachwycenia do gęby, czém wzbudził największego potępienia godny śmiech u kobiet.

Baron pomyślał sobie: — oto mi gbur, które-

go walić trzeba młotem, dopóki gorący, aby go przekuć z chłopa na wasana — i dalej ciągnie:

— Świadczę wam zaszczyt, jakiego pewno nie spodziewaliście się, a ten zaszczyt tém większą powinien mieć w waszych oczach zasługę, im lepiej znane *prawo pana*, od wieków uświęcone, nadające mu przywilój *prima noctis*, to jest prerogatywy tak zwane *droit de Seigneur*, każdym razem, kiedy jedna z jego poddańek idzie za mąż za człowieka także w poddaństwie pozostającego, to jest, po prostu za *duszę*.

Teraz dopiero ocknął się duch Piotra, już wzburzony pustym śmiechem kobiet, spowodowanym niuchem tabaki do gęby wsadzonym, i teraz dopiero otwarły się śluzi wymowy chłopa dotkniętego do żywego w swój najdrażliwszej ambicyi.

— Le droit de Seigneur? prawa pana? o tym beiecznym, niemoralnym przywileju pan baron śmie wspominać? i tém mi grozić? Bogu dzięki! tém mi panie wzruszyłeś serce, które jak zdrętwiałe słuchało wszystkich innych argumentów i na odpowiedź zdobyć się nie mogło. Oj panie!

prawo trwać może, ale zwyczaj już obalony. Ostatnim panem naszym, który użył tego przywileju, był stryj pański, ów rozwiąły kawaler zakonu Maltańskiego; i na cóż mu posłużył? jego ofiara wskoczyła z zamku w przepaść i strzaskała sobie głowę, on legł z ręki jój narzeczonego, a ten biędny narzeczoney, mój rodzoniuteński brat starszy za to został lamany kołem w Grenobli i w straszliwych mękach wyzionął szlachetną swą duszę. Troje trupa za jeden bezbożny czyn dokonany, dokonany przez zbrojnego zakonnika! od tego czasu ani się braciom Kumtura, ani ich potomkom nie zachciało kosztować prawa pańskiego. A pan baron mnie tém straszysz? Wolalbym własną ręką zabić córkę swoję, niż zezwolić na jój hańbę. Otóż nie chcę z jasnym panem wchodzić w żadne węzły pokrewieństwa, nieprawne i prawne: ja chcę mieć za zięcia człowieka żywiącego się pracą, i nie gardzącego ludźmi z niój żyjącemi; ja chcę swobodnie siadać z niemi do stołu i cieszyć się do śmierci jedyném dzieckiem swojém i jego potomstwem. A tego mieć nie będę w pańskim zamku, i tak jakoś wnioskując z wieku i z miny pana barona

nie wielkie sobie rokuje nadzieje o możliwości wnuków. Dziękuję Jasnemu panu za honor, który mi świadczysz, ale pocziwemu Janinowi dotrzymam słowa, chociażby miał przez to postradać miejsce sekretarza u pana barona. A może lepiej będzie, że się Janin rozłączy z jasnym panem, bo nie dobrze owieczkom, gdy wilk w bliskości. Otóż wybacz pan baron szczerości mojej; ale darmo, w tak ważnych sprawach trzeba jak najwyraźniej postępować.

Pan Amblerieux nadstawiając ucho tej mowie swego poddanego, spoglądał jednakże z ukosa na kobiety i na ich licach wyczytywał potępienie dla zdania starego Piotra. To mu wystarczało na ten raz, więc też wstał i mówiąc, że przyjdzie za dni kilka po ostateczną odpowiedź, wyszedł ucałowawszy Laudę w ręce.

Tievena skoczyła swęj córce do szyi i krzyczała, ściskając ją jak mogła najsilniej:

— Bogu dzięki, już się zjiszczać zaczynają przepowiednie; nie jesteś jeszcze królową, ale niebawem będziesz wielką damą i wysoką dygnitarką.

Lecz Klaudynie jakoś smutne myśli przebiegły przez głowę, usta zaś jęj pomimowolnie wyrzekły:

— Biędny Janin!

— Jaktó? krzyknęła Tievena, —czybyś jeszcze miała myśleć o tym Janinie, który przez czas tak długi godził na twój honor, i teraz cię czci tylko dla tego, że cię nie zdołał odrzucić z cześci? A cóż, nie masz-to ambicyi?

— Co to za jęjmość gada o Janinie? — spyta teraz stary Piotr, jak gdyby ze snu przebudzony.

— Oto mi się Lauda dopięro przed kilkoma dniami zwierzyła, że ją Janin przez długi czas wszędzie ścięgał i koniecznie chciał zbałamuć, twierząc że prawdziwa miłość obejść się może bez ślubów.

— Czy tak było w istocie, Laudo? — spyta surowo ojciec.

— Przysnać muszę, że tak było a nie inaczej,
— rzecze Klaudyna niby bardzo niechętnie.

— A to niecnota chłopak, już zupełnie przecuchnął baronem, kiedy tak bezbożnie o ślubie

gada; ty zaś Laudo, także już jesteś cokolwiek popsuta, kiedyś mi dotychczas nie o tém nie powiedziała.

Już się cokolwiek zachwiała wiara w uczciwość Janina w sercu starego wieśniaka.

Jeszcze téj nocy zapalilo się u Piotra w gumnach i cała krestencyja zgorzała ze szczętem, pomimo ratunku, którym kommenderował na koniu sam pan baron; a graniczni złodzieje wprowadzili mu dwie pary wołów, aż do Sa-baudyi.

Byłby umarł stary wieśniak z żalu; ale pan baron kazał swym kosztem w dni kilka odbudować gumna, napelnić je swém własném zbożem, i tak długo ścigał złodziei, aż im odbił woły tuż pod Chambery.

Od tego czasu, uparty Piotr inném okiem na barona spoglądał; ujęły go dary grzeczności, rozmowy pana, a zwłaszcza jego zapewnienia, że nie tak nie kocha w świecie jak ludzi pracujących i z nimi tylko rozmawiać lubi, bo tylko oni posiadli prawdziwy rozum doprowadzający do pocziwego zysku.

A Janin nie wraca, nie wiadomo czemu; słuchy zaś dochodzą, że młody sekretarz zupełnie się rozhulił w Lyonie, że przehulał pieniądze dane mu na zakupienie podarunków dla narzeczonej i że nie wróci tak prędko, bo się wstydzi swych czynów.

Ale to nie prawda.—Janin po prostu, na prośby barona osadzonym został przez miejskiego Prewota Lyonu w areszcie, niby za to, że nie mając praw szlacheckich, pozwolił sobie jako sekretarz podskarbiego nosić wyszywane złotem suknie i szpadę ozdobioną fontaziem.

I na tém się skończyło, że stary, brzydki, zwątlony, ledwo kupy się trzymający magnat poprowadził do ołtarza najmilszą dziewicę Delfinatu, błyszczącą zdrowiem i świeżością.

A wszyscy młodzi ludzie ze wsi Bachet i z całej okolicy plakali z żalości, na widok tylu rodzinnych uroków poświęconych człowiekowi schorzałemu i nadgniłemu, który z nich korzystać nie zdoła.

I już od téj chwili nie szanowano Piotra jako głowę wioski, lecz prawo patryjarchalności

oddano innemu młodszemu, który się jeszcze nigdy nie dał zachwiać w zasadach.

I coś już na trzeci dzień po ślubie, magnat nie chciał gadać ze swym teściem i przykazał mu wrócić do swój chaty, i tam czekać, aż go przywołają. Tenże sam los spotkał starą Tievenę, która jednakże nie dała się zrażać niewdzięcznością zięcia i codziennie pokryjomu przychodziła do swój córki słuchać co się dzieje i radzić jój, jak sobie ma postąpić w każdym razie.

Cóż w tydzień po ślubie wrócił Janin do wsi napół umarły z tęsknoty i okrutnie dręczony przeczuciami.

Stary Piotr wszystko mu opowiada: młodzieniec traci głowę, z nabitym pistoletem czatuje na barona w szpalerach zamkowego ogrodu. Pan d'Amberieux zbliża się ze swą młodą polowicą, ubraną w jedwabie i koronki, i niosącą za sto tysięcy brylantów w swych pudrowanych włosach. Janin ją widzi uśmiechającą się wdzięcznie i kokieteryjnie do swego małżonka; młody wieśniak jeszcze więcej traci głowę i zamiast zabić nienawistnego mu rywala, sam sobie w łeb pali.

Na odgłos wystrzału, Lauda baronowa d'Amblerieux uciekła do zamku, baron zaś poznawszy trupa, kazał go natychmiast w tém samym miejscu zakopać i pod najsurowszą karą zabronił rozgłaszać co się stało.

Baronowa, przechadzając się pod szpalerami swego ogrodu, nie wiedziała, że tuż obok w niepoświęcanéj ziemi leży jéj młody narzeczony, którego niegdyś bardzo kochała.

Figlarny Hymen jest śmiertelnym dla starców, którzy się żenią z młodemi i pięknemi kobietami. Baron d'Amblerieux umarł coś w dwa miesiące po ślubie; a Tievena radami swojemi tyle dokazała, że baron zapisał swéj żonie cały swój majątek, już w kilka dni po ślubie.

I wówczas Lauda dowiedziała się jaki los spotkał Janina i płakała go rzewnie przez dni kilka; potém zaś kazała mu wznieść nagrobek na tém samym miejscu, na którym jego dusza rozdzieliła się z jego ciałem. Do dziś dnia zoczyasz tam krzyż marmurowy, a obok niego takąż kobietę, zasłoniętą kwefem i wrzucającą kwiaty do próżnej urny.

Nie dano młodej baronowej używać spokojnie bogactw jej zostawionych: jawią się krewni nieboszczyka barona, sprzysięgają się w ligę i atakują nie tylko ważność testamentu, lecz nawet prawność aktu ślubnego. Wytacza się straszliwy proces. Młoda wdowa jedzie do Paryża, aby tam popierać swą sprawę u króla Ludwika XIV!!

Można sobie wystawić, że wygrała sprawę.

Baronowa d'Amblerieux, wieśniaczka zaledwie czytać i pisać umiejąca, staje się najmłodniejszą z piękności i z dowcipu damą na dworze Wielkiego Monarchy; i w niej się kocha na śmierć najcześniejszy magnat Francyi, stary siedm-dziesięcio-letni marszałek, margrabia de Lhopital. Sam król ośmiela marszałka do zawarcia małżeństwa z najpiękniejszą kobietą Francyi. Baronowa staje się margrabiną, wkrótce potem rodzi syna, który wychowywany w królewskich przepychach, umiera w kilka lat potem, także już po śmierci starego marszałka.

Po śmierci syna swojego, margrabina długo płakała i wróciła do zamku Amblerieux na mie-

sięcy kilka, a w kościele naszej wioski kazała wznieść pomnik z alabastru dla młodziutkiego synka.

Lauda wróciła do Paryża, lecz już od lat dwóch inna piękność panowała na dworze Wielkiego Ludwika, który tak był niestałym w miłości, jak był wytrwałym w ważnych przedsięwzięciach.

Jan Kazimierz Waza król Polski, rzuca swą łzami skropioną koronę, i szuka przytułku we Francyi, gdzie mu Ludwik XIV wyznacza Opactwo Świętego Germana za rezydencyją. Książę ten, który wówczas już nie był panującym królem, lecz chciwym wrażeń prałatem, poznał prześliczną margrabinę de Lhopital, i tak się jej wdziękami i naiwnością dowcipu zachwycił, że żyć nie mógł bez swego ideału. Margrabina widząc rozkochanego Jana Kazimierza u stóp swoich, zezwoliła być królową polską, przynajmniej z tytułu, i w obec kilkunastu magnatów, a nawet jednego z członków królewskiej rodziny, została zaślubioną potajemnie królowi Janowi Kazimierzowi Wazie w kaplicy zamkowej Wersalskiej.

A gdy wróciła z uszczęśliwionym Kazimerzem do swego własnego pałacu, zastała na jego progach starą cygankę, która ją prosiła o tysiąc talarów za przepowiedzenie jej przed dwudziestą-pięcią laty, że zostanie królową.

Królowa Lauda nie śmiała odmówić wróżce ceny swój przepowiedni, a król dodał podobno sto dukatów do tej kwoty.

Nowina o tym dziwnym wyniesieniu, lubo tajona, doszła jednakże pod strzechę chatki, w której się rodziła królowa Lauda. Tiewena tak się ucieszyła, że z radości umarła. Piotr w dni kilka umarł, ale z żalu.

Jan Kazimierz nie obrachował się z siłami życia, gdy się żenił z młodą, zdrową i żywą córką Delfinatu. I on legł ofiarą późnego hymenu w rok po ślubie. Po raz trzeci Klaudyna widzi się wdową; ale jej zostaje owoc miłości z królem: księżniczka, której niestety Wazowie nie chcą uznać za swą krewną, którą wykluczają z pocztu familijnego w kalendarzach i almanachach.

Pasterka ze wsi Bachet obstawała przy swym tytule przez lat dziesięć, szafowała pieniędzmi

i do wszystkich drzwi pukała, aby ją tylko Wazowie uznali za swą krewną i za matkę księżniczki Kazimiry Waza.

Niezdolała osiągnąć celu swych starań, i straciwszy prawie cały majątek wróciła z dorastającą córką do zamku Amblerieux, którego grunta już od lat kilku zostały sprzedane poddanym.

I tam żyła długo codziennie uboższa, codzien-
niej piękna, codzien-
niej więcej zapomniana, co-
dzien-
niej więcej nieszczęśliwa.

A księżniczka Kazimira Waza zestarawszy się poszła po śmierci królowej Laudy Waza, swęj matki za dalekiego krewnego swojego, za Andrzeja Mignot, prostego i dość ubogiego wieśniaka.

Córka spłodzona z tego małżeństwa, ostatni potomek Laudy, zestarzała się panną, wpadła w tak okropną nędzę, żeśmy jej jałmużnę dawali, potem umarła. Nieboszczyk ksiądz proboszcz, mój brat starszy, kazał wyryć ten napis na jej grobie, aby ludziom dumnym z urodzenia i z dostatków przypominał znikomość rzeczy ludzkich.

I stary Bakalarz opowiedziawszy mi tę smutną historyją przy grobie Klaudyny Mignot, rzucił kilka kwiatów na kamień pokrywający jej zwłoki i poszedł oglądać mogiły, pod któremi leżał liczny poczet jego synów, wnuków i prawnuków.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.